

# Henry Kuttner

## De profundis

### Gdy się przebierze miarka

Zdumiało ich, że udało się im wynająć to mieszkanie - przy wysokich czynszach i warunkach zawarowanych w umowie najmu - a Joe Calderon czuł się szczęśliwy, bo stąd na uniwersytet miał tylko dziesięć minut drogi metrem. Myra, jego żona, wicherząc sobie w zamyśleniu rude włosy, orzekła, że właściciele zapewne spodziewają się u lokatorów partenogenezy - jeśli to właśnie miała na myśli; w każdym razie Chodziło jej o podzielenie się na pół organizmu i powstanie od razu dwu dojrzałych osobników. Calderon uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dwuczłonowego podziału, głuptasku - powiedział obserwując małego, półtorarocznego Aleksandra, raczkującego po dywanie i przygotowującego się -do zajęcia pozycji pionowej na swych grubiotkich krzywych nóżkach.

Mieszkanie doprawdy przedstawiało się nieźle. Zaglądało tu od czasu do czasu słońce i było więcej pomieszczeń, niż mieli prawo oczekiwać za tę cenę. Najbliższa sąsiadka, egzaltowana blondyna, mówiąca chyba wyłącznie o swoich migrenach, poinformowała ich, że w mieszkaniu 4D trudno utrzymać lokatorów. Nie żeby straszyla, ale pojawiają się tam dziwni goście. Ostatni najemca, agent ubezpieczeniowy, tego zresztą pociągający z butelki, wyprowadził się pewnego dnia narzekając na jakieś małe ludziki - podobno dzwoniły do jego drzwi o najrozmaitszych porach i pytały o niejakiego Potta czy kogoś o podobnym nazwisku. Dopiero po jakimś czasie Joe utożsamiał Potta z Cauldronem, czyli Calderonem.

Siedzieli teraz zadowoleni na kanapie i patrzyli na Aleksandra. Był wspaniałym dzieckiem. Jak wszystkie malce, na karczku miał wałeczek tłuszczu, a jego nóżki przypominały według Calderona grubo ciosane, kłocowate kończyny kamiennego posągu - tak przynajmniej wyglądały. Przyciągała wzrok i wręcz fascynowała ich niewiarygodna bianiasta różowość. Aleksander zaśmiał się głupawo, wstał i chwiejnym krokiem, niczym pijany, ruszył w stronę rodziców, papląc coś niezrozumiałego.

- Głuptasek - powiedziała Myra z czułością i rzuciła dziecku ukochaną, miękką, aksamitną świnę.

- No, to jesteśmy przygotowani do zimy - oznajmił Calderon. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o nerwowych ruchach, zdolny fizyk, kochający swoją pracę na uniwersytecie. Myra - raczej drobna, ruda, z zadartym noskiem i sardonicznymi piwnymi oczami - wydała pomruk niezadowolenia.

- Gdybyśmy mogli znaleźć służącą. Inaczej się zesłużę.

- Mówisz tonem straceńca. Co to znaczy, że się zesłużysz?

- Jako służka. Zagniatając, gotując, szorując. Dzieci to wielki egzamin. Ale warto się mu poddać.

- To betka w porównaniu z Aleksandrem. On przejdzie samego siebie.

Rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Calderon wstał z kanapy, przeszedł nieprzytomnie przez pokój i otworzył drzwi. Nie dostrzegł nikogo. I dopiero spojrzawszy nieco w dół ujrzał coś, co sprawiło go w lekkie oszołomienie.

W hallu stało czterech mini-ludzików. Ściśle mówiąc mini od czoła w dół, bo czaszki mieli ogromne, wielkości i kształtu arbuźów albo też dlatego, że na głowach siedziały im wielgachne hełmy z połyskliwego metalu. Twarze ich - zasuszone, o ostrych rysach, maseczki - pokrywała gęsta sieć zmarszczek. Ubrania o krzykliwych nieprzyjemnych kolorach sprawiały wrażenie zrobionych z papieru.

- Och! - powiedział obojętnie Calderon.

Czwórka przybyszów wymieniła szybkie spojrzenia. Jeden z nich spytał:

- Czy pan Joseph Calderon?

- Tak.

- Jesteśmy - oznajmił najbardziej pomarszczony z tej czwórki potomkami pańskiego syna. On jest superdzieckiem. Przybyliśmy tu, żeby go kształcić.

- Tak - powiedział Calderon: - Ach tak, oczywiście. Ja... słuchajcie!

- Czego?

- Super...

- Tu jest - krzyknął inny karzelek. - To Aleksander! Wreszcie dało się nam trafić na właściwy moment! - I prześlizgnął się do mieszkania koło nóg Calderona.

Calderon zrobił kilka ruchów rękami, na próżno próbując ich zatrzymać, lecz mini-ludziki bez trudu mu się wymknęły. Kiedy się odwrócił, otaczały już Aleksandra. Myra, podciągawszy pod siebie nogi, przypatrywała się ze zdumieniem przybyszom.

- Spójrzcie - odezwał się karzelek. - Widzicie jego potencjalną defizję? - Przynajmniej brzmiało to jak "defizja".

- A jego czaszka, Bordent - wtrącił drugi. - To niezwykle ważna część. Te zwoje są niemal doskonałe.

- Wspaniale - przyznał Bordent nachylając się do przodu. Aleksander sięgnął ręką do siatki zmarszczek, złapał Bordenta za nos i ścisnął z całej siły. Bordent znosił to ze stoickim spokojem, dopóki malec nie zwolnił chwytu.

- Niedorozwinięty - powiedział tolerancyjnie. - My go wyeducujemy.

Myra zeskoczyła z kanapy, wzięła dziecka na ręce i cofnęła się do wnęki, stawiając czoło mini-ludzikom.

- Joe, masz zamiar na to pozwalać? Co to za źle wychowane stworki?

- Bóg raczy wiedzieć - odparł Calderon. Zwilżył zaschnięte wargi językiem i spytał: - Co to za kawały? Kto was tu przysłał?

- Aleksander - wyjaśnił Bordent. - Z roku... no..., z grubsza dwa tysiące czterysta pięćdziesiątego. On jest praktycznie nieśmiertelny. Jedyne przemocą można zgładzić któregoś z supermanów, a w roku dwa tysiące czterysta pięćdziesiątym przemocy nie ma.

Calderon westchnął.

- Nie, mówię poważnie. Kawały kawałami, ale...

- Wielokrotnie podejmowaliśmy próby. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym, czterdziestym czwartym, czterdziestym siódmym, wciąż w tym samym okresie. Przybywaliśmy albo za wcześnie, albo za późno. Ale teraz utrafiliśmy we właściwy sektor czasu. Naszym zadaniem jest wyedukowanie Aleksandra. Jako jego rodzice powinniście się czuć dumni. Wie pan, my was czcimy. Ojciec i matka nowej odmiany człowieka.

- Tfu! - prychnął Calderon. - Dość tego!

- Potrzebują dowodu, Dobish - skostatował któryś z karzełków. - Pamiętaj, że dopiero co dowiedzieli się, że Aleksander to homo superior.

- Homo tumany - sprostowała Myra. - Aleksander jest najzupełniej normalnym dzieckiem.

- Najzupełniej supernormalnym - oznajmił Dobish. - My jesteśmy jego potomkami.

- I dlatego jesteście superludźmi - odezwał się sceptycznym tonem Calderon mierząc wzrokiem mini-ludziki.

- Nie wszyscy, niewielu jest wśród nas supermanów typu Wolny Iks. Normą biologiczną jest specjalizacja. Tylko kilku to supermani czystej wody. Jedni specjalizują się w logice, drudzy w werbenatyce, inni, jak my, są doradcami. Gdybyśmy byli supermanami typu Walny Iks, nie moglibyście stać tu sobie i mówić do nas. Czy też na nas patrzeć. Jesteśmy tylko elementami całości, natomiast tacy jak Aleksander stanowią wspaniałą całość.

- Och, wypędź ich - powiedziała Myra zmęczona już tym widowiskiem. - Czuję się jak żona Thurbera.

Calderon kiwnął głową.

- Okay, spływajcie, panowie. Odjazd. Mówię poważnie.

- Tank, potrzebują dowodu - przyznał Dobish. - Co zrobimy? Nieboślizg?

- Zbyt kłopotliwe - zaproponował Bordent. - A może urządzimy lekcję pokazową? Uspokajasz?

- Uspokajasz? - zdziwiła się Myra.

Bordent wyjął ze swojego papierowego ubrania jakiś przedmiot i obracał go w dłoniach. Palce wyginały mu się na wszystkie strony. Calderon odczuł lekki wstrząs elektryczny.

- Joe, nie mogę się ruszyć - oznajmiła pobladła Myra.

- Ani ja. Nie denerwuj się. To jest... jest - przerwał, a potem umilkł.

- Siadać - polecił Bordent, obracając wciąż ów przedmiot w dłoniach.

Calderon i Myra ruszyli ku kanapie i usiedli. Języki im skołowaciały, cali zeszywnieli.

Dobish podszedł do nich, wdrapał się na kanapę i wyrwał Aleksandra z ramion matki. Przerażenie malowało się w oczach Myry.

- Nie zrobimy mu nic złego - zapewnił Dobish. - Chcemy mu tylko udzielić pierwszej lekcji. Czy wzięłeś przybory, Finn?

- Są w worku.

Finn wyciągnął z ubrania trzydziestocentymetrowy worek. Wysypało się z niego niewiarygodnie dużo rzeczy. Wkrótce cały dywan zasłany był przedmiotami o dziwnych kształtach i nieznanym przeznaczeniu. Calderon rozpoznał wśród nich tesseract.

Czwarty karzełek, który, jak się okazało, nazywał się Quat, uśmiechnął się uspokajająco do strapionych rodziców.

- Przyglądajcie się. Ale nauczyć się niczego nie możecie, nie macie tego potencjału. Jesteście hamo sapiens. Za to Aleksander...

Aleksander pokazywał swoje humory. Był diabło wesolutki. Z właściwą dzieciom diabelską przekorą odmawiał współpracy. Nieoczekiwanie odpełzał do tyłu, wybuchał głośnym wrzaskiem, z zachwytem oglądał własne stopy, wpychał sobie piąstki do ust i niezadowolony z efektu płakał gorzko, paplał o jakiś niewidzialnych rzeczach tajemniczo i monotonicznie, wreszcie walnął Dobisha w oko.

Ludziki odznaczały się niewyczerpanymi zasobami cierpliwości. Po dwóch godzinach lekcję zakończono. Calderonowi nie wydawało się, żeby Aleksander zbyt dużo się nauczył.

Bordent pokręcił znowu tym swoim przyrządem. Skinął uprzejmie głową i nakazał towarzyszom odwrót. Czterech ludzików opuściło mieszkanie, a w chwilę później Calderon i Myra odzyskali zdolność ruchu.

Myra zeskoczyła z kanapy i chwiejąc się nieco na zdrętwiałych nosach, chwyciła na ręce Aleksandra, po czym padła na kanapę. Calderon rzucił się ku drzwiom i otworzył je na oścież. Hall był pusty.

- Joe! - zawołała Myra cienkim, przerażonym głosem.

Calderon wrócił i pogłaskał ją po włosach. Spojrzał w dół na jasną kędzierzawą główkę Aleksandra.

- Joe, musimy zrobić... coś zrobić.

- Nie wiem - odparł. - Jeśli coś się stanie...

- Już się stało. Zabrali ze sobą te przedmioty. Aleksander, och! - Nie próbowali zrobić mu krzywdy - rzekł niepewnie.

- Nasz malec! On nie jest wcale superdzieckiem.

- No dobrze. Wyciągnę swój rewolwer. Cóż więcej mogę zrobić? - Ale ja coś zrobię - obiecała Myra. - Wstrętnie skrzaty! Zrobię coś, zobaczysz!

Niewiele jednak można było zrobić.

Następnego dnia zgadnie unikali tego tematu. Ale o czwartej po południu, w porze pierwszej wizyty, siedzieli z Aleksandrem w kinie na najnowszym filmie w technikolorze. Czwórka ludzików chyba tu ich nie odnajdzie...

Nagle Calderon poczuł, że Myra sztywnieje, i odwracając się ku niej miał jak najgorsze przecucia. Myra zerwała się na równe nogi łapiąc z trudem powietrze i wpiła mu palce w ramię.

- Nie ma Aleksandra!

- Jak to nie ma?

- Po, prostu zniknął. Trzymałam go... Chodźmy stąd.

- Może go upuściłaś - powiedział głupawo Calderon i potarł zapalną. Z tyłu rozległy się krzyki. Myra już się przepychała wzdłuż rzędu. Pod siedzeniem nie było żadnych dzieci. Calderon więc dogonił żonę w westybulu.

- Zginął - mamrotała Myra. - Ot, tak po prostu. Może przeniósł się w przyszłość. Joe, co my zrobimy?

Calderon znalazł taksówkę wprost cudem.

- Jedziemy do domu. Najprawdopodobniej jest tam. Mam przynajmniej nadzieję, że jest.

- Tak, oczywiście. Daj mi papierosa.

- Będzie w mieszkaniu...

I rzeczywiście był tam, siedział w kucki, z zainteresowaniem wpatrując się w przyrząd demonstrowany przez Quata - wściekle kolorowy ubijacz piany z czterowymiarowymi przystawkami, gadający cienkim, wysokim głosem. Nie po angielsku.

Bordent przytknął uspokajaczem i zaczął go obracać w dłoniach, jak tylko Calderon i Myra weszli do mieszkania. Joe złapał żonę za ramnie, pociągając ją do tyłu.

- Czekajcie! - powiedział pospiesznie. - Nie trzeba. Nie będziemy niczego próbować.

- Joe! - Myra usiłowała się mu wyrwać. - Czy zamierzasz im pozwolić...

- Cicho - rozkazał. - Bordent, odłóż ten przyrząd. Chcemy z wami porozmawiać.

- Zgoda, o ile przyrzekniecie nie przeszkadzać.

- Przyrzekamy. - Calderon podprowadził na siłę Myrę do kanapy i przytrzymał ją tam. - Posłuchaj, kochanie. Aleksandrowi nic się nie stanie. Oni mu krzywdy nie zrobią.

- Zrobić mu krzywdę! Też coś takiego! - wykrzyknął Finn. Obdarłby nas żywcem ze skóry w przyszłości, gdybyśmy go skrzywdzili w przeszłości.

- Zamilknij - polecił Bordent. To on był przywódcą w tej czwórce. - Rad jestem, że okazałeś się chętny do współpracy, Josephie Calderon. Sprzeciwia się mojej naturze użycie siły wobec półboga. Tak czy inaczej, jest pan przecież ojcem Aleksandra.

Aleksander wyciągnął pulchną rączkę i próbował dotknąć wirującego ubijacza piany. Sprawiał wrażenie zafascynowanego.

Quat rzekł:

- Dżeczaczek iskrzy. Czy mam dać szczepionkę?

- Nie tak szybko - odparł Bordent. - Będzie rozumny po tygodniu i wtedy możemy przyspieszyć cały proces. A teraz, panie Calderon, proszę się odprężyć. Może czegoś jeszcze sobie pan życzy?

- Drinka.

- Chodzi im o alkohol - wyjaśnił Finn. - Rubajat wspomina o tym, pamiętasz?

- Rubajat?

- Śpiewający rubinowy klejnot z Dwunastej Biblioteki.

- Ach, tak - rzekł Bordent. - Ten. Myślałem, że to tablica Jehowy, ta z gromami. Czy zechciałbyś zrobić trochę alkoholu, Finn?

Calderon przełknął ślinę.

- Nie kłopotcie się, mam trochę w tym kredensie. Czy mogę... - Nie jesteście w i ę ż n i a m i. - Głos Bordenta świadczył o tym, że czuje się wstrząśnięty. - Musieliśmy tylko zmusić was do wysłuchania kilku wyjaśnień, a potem... wszystko będzie inaczej.

Myra potrząsnęła głową, kiedy Calderon wręczył jej szklaneczkę, ale ten spojrzał na nią znacząco.

- Nie poczujesz tego. No, nie namyślaj się.

Nie spuszczała oka z Aleksandra. Dziecko naśladowało teraz piskliwe dźwięki wydawane przez ubijacz piany. Były przenikliwe i nieprzyjemne.

- Promienie działają - oznajmił Quat. - Widz jednak wykazuje pewien słaby opór korowy.

- Skontuj napięcie - polecił mu Bordent.

- Modzewabba? - powiedział Aleksander.

- Co to? - spytała Myra nienaturalnym głosem. - Superjęzyk?

Bordent uśmiechnął się do niej.

- Nie, po prostu dziecięce gaworzenie.

Aleksander zaczął płakać.

- Superdziecko czy nie, ale kiedy płacze tak jak teraz, ma swoje powody. Czy i te sprawy wchodzą w zakres waszej opieki?

- Naturalnie - odparł ze spokojem Quat. Wraz z Finnem wynieśli Aleksandra z pokoju.

Bordent uśmiechnął się ponownie.

- Zaczynacie nam wierzyć - skonstatował. - To nam pomoże. Calderon pił czując palenie whisky w ustach i lodowaty skurcz w żołądku.

- Gdybyście byli ludźmi... - zaczął niezdecydowanie.

- Gdybyśmy byli, nie znaleźlibyśmy się tutaj. Stary porządek ulega zmianie. Kiedyś musi się to zacząć. Aleksander to pierwszy homo superior.

- Ale dlaczego akurat my? - spytała Myra.

- Genetyka. Oboje mieliście do czynienia z radioaktywnością i pewnego typu krótkofalowym promieniowaniem, które oddziaływały na plazmę zarodków. Doszło do mutacji i od tej pory będą następować dalsze. Wy byliście pierwsi. Umrzecie, ale Aleksander będzie żył nadal. Może tysiąc lat.

Calderon zagadnął:

- A to wasze przybycie z przyszłości... mówiliście, że was posłał Aleksander?

- Dorosły Aleksander. Dojrzały Superman. To oczywiście zupełnie odmienna kultura, poza waszym rozumieniem. Aleksander to jeden z Wolnych Iksów. Powiedział do mnie, naturalnie za pośrednictwem maszyny do tłumaczenia: "Bordent, do trzynastego roku życia nie rozpoznano we mnie supermana. Do tego czasu rozwijałem się jak zwykły homo sapek. Sam nie znałem własnego potencjału. A to było złe". Doprawdy to jest zła rzecz, wierzcie mi. - Bordent odszedł w tym momencie od tematu i dodał: - Organizm nie może ujawnić w pełni swych możliwości, o ile nie zapewni mu się najlepszych warunków rozwoju od samego urodzenia. Albo przynajmniej od dzieciństwa. Aleksander powiedział mi: "Urodziłem się mniej więcej przed pięciuset laty. Weź kilku doradców i udaj się w przeszłość. Odnalez mnie jako niemowlę. Zapewnij mi specjalistyczne szkolenie od samego początku. Myślę, że to mi zapewni rozwój".

- Uważasz, że przeszłość da się kształtować? - spytał Calderon.

- Ma wpływ na przyszłość. Nie można zmienić przeszłości bez zmienienia również przyszłości. Ale wydarzenia mają tendencję do dryfowania z powrotem. Istnieje norma czasowa, jakiś generalny poziom. W pierwotnym sektorze czasu nie moglibyśmy złożyć wizyty Aleksandrowi. Teraz jednak to uległo zmianie, a więc i przyszłość się zmieni, jakkolwiek w niewielkim stopniu. Nie wchodzi w grę żadne przełomy ani osie czasowe. Skutek będzie jedynie taki, że dorosły Aleksander zrealizuje pełniej swój potencjał.

Aleksandra, który promieniał zadowoleniem, przyniesiono znowu do pokoju. Quat wrócił ponownie do lekcji z ubijaczem piany.

- Niewiele możecie zrobić - rzekł Bordent. - Myślę, że zdajecie już sobie teraz z tego sprawę.

Myra zapytała:

- Czy Aleksander będzie wyglądał tak jak wy? - Twarz miała spiętą.

- O nie. On jest doskonały pod względem cielesnym. Nigdy naturalnie go nie widziałem, ale...

Calderon rzekł:



- Dziedzic wszechczasów. Myra, czy zaczynasz się domyślać, o co chodzi?

- Tak. O supermana. Tylko że to nasze dziecko.

- I zostanie nim - wtrącił niecierpliwie Bordent. - Nie chcemy wcale pozbawiać go dobroczynnego wpływu domu i rodziców. Każde dziecko tego potrzebuje. W samej rzeczy, cierpliwość w stosunku do młodych to cecha ewolucyjna mająca zapewnić pojawienie się supernana, podobnie jak takim przygotowaniem jest zanikanie wyrostka robaczkowego. W pewnych okresach dziejów ludzkość staje się podatna na powstanie nowej odmiany człowieka. Nie udawało się to dotąd. Były antropologiczne poronienia, że tak powiem. I niech mnie drzwi ścisną, jeśli to nie jest ważne! Maluchy są okropnie irytujące. Długi czas pozostają zupełnie bezradne i wystawiają na próbę cierpliwość rodziców. Im zwierzę niższego rzędu, tym prędzej jego małe dorasta. A u ludzi potrzeba wielu lat, zanim dzieci osiągną niezależność. Tak więc odpowiednio do stanu rzeczy wzrasta cierpliwość rodziców. Superdziecko nie dorośnie przed ukończeniem mniej więcej dwudziestu lat.

- To Aleksander wciąż będzie dzieckiem? - zapytała Myra.

- Fizycznie osiągnie rozmiary ośmioletniego homo sapka. A umysłowo... no, okreśmy to jako irracjonalność. Nie można w jego wypadku stosować intelektualnej czy emocjonalnej normy. Nie będzie rozsądny, podobnie jak nie są rozsądne inne dzieci. Trzeba czasu, żeby rozwinęła się selektywność. Za to jego możliwości będą o wiele, wiele większe, powiedzmy, od waszych w dzieciństwie.

- Dziękuję - powiedział Calderon.

- Będzie miał rozleglejsze horyzonty. Jego umysł jest zdolny do ogarnięcia i przyswojenia znacznie więcej niż wasz. Świat dla niego to prawdziwa skarbnica. W niczym nie będzie go można ograniczyć. Potrzeba jednak trochę czasu na to, by ukształtował się jego umysł, jego osobowość.

- Chciałabym jeszcze trochę whisky - odezwała się Myra. Calderon podał jej trunek. Aleksander wpakował palec w oko Quawi i próbował mu je wydłubać. Quat poddawał się temu zabiegowi biernie.

- Aleksandrze! - krzyknęła Myra.

- Proszę siedzieć spokojnie - polecił Bordent. - Pod tym względem cierpliwość Quata jest naturalnie o wiele bardziej rozwinięta niż wasza.

- Byłoby jednak fatalnie, gdyby wylupił Quatowi oko - rzekł Calderon.

- Quat się nie liczy w zestawieniu z Aleksandrem. On też to wie. Szczęśliwie dla dwuocznego widzenia Quata Aleksander nagle znudził się tą nową zabawką i z zapalem zaczął znowu przyglądać się ubijaczowi piany. Dobish i Finn pochylali się nad malcem i wpatrywali w niego. Calderon czuł, że chodzi tu o coś więcej.

- Indukowana telepatia - wyjaśnił Bordent. - Wymaga długiego czasu, więc już ją rozpoczynamy. Mówię wam, co za ulga, że trafiliśmy wreszcie w odpowiedni sektor czasowy.

Dzwoniłem do tych drzwi co najmniej sto razy, ale nigdy do tej pory...

- Ruszaj się - powiedział wyraźnie Aleksander. - Naprawdę. Ruszaj się.

Bordent kiwnął głową.

- Na dziś dosyć. Przyjdziemy tu znów jutro. Będziecie gotowi?

- Przypuszczam, że będziemy gotowi, jak zawsze - odparła Myra opróżniając swoją szklaneczkę.

Podochocili sobie tego wieczora i dość wszechstronnie przedyskutowali całą sprawę. Uświadomienie sobie środków i możliwości czterech ludzików również wpłynęło na tok ich rozumowania. Żadne z nich nie żywiło już wątpliwości. Wiedzieli, że Bordent i jego towarzysze przybyli z przyszłości, z odległości pięciuset lat, na polecenie przyszłego Aleksandra, który wyrósł na wspaniałego supermana.

- Zdumiewające, co? - powiedziała Myra. - Takie grubiutki bobo w łóżeczku zamienia się w supertajemnicze, cudowne dziecko do dwunastej potęgi.

- Gdzieś się to musi zacząć, jak mówił Bordent.

- Żeby tylko nie wyglądał jak te skrzaty, fuj!

- Będzie supermanem. Deukalion i jak jej tam to my, rodzice nowej odmiany człowieka.

- Czuję się dziwnie - zwierzała się Myra. - Jakbym urodziła łosia.

- To by się nigdy nie mogło zdarzyć - pocieszał ją Calderon. Pociągnij sobie jeszcze łyceczek.

- Ale równie dobrze mogłoby się to zdarzyć. Aleksander jest młosiem.

- Młosiem?

- Ja też potrafię mówić tą ich pseudomową. Dżeczące ple-ple w wielkim foyer. No proszę.

- To jest ich język - zauważył Calderon.

- Aleksander będzie mówił po angielsku. Znam swoje prawa.

- Nie wygląda na to, żeby Bordent zamierzał je naruszać. Zapewniał, że Aleksander potrzebuje środowiska rodzinnego.

- Tylko dlatego jeszcze nie zwariowałam - wyznała Myra. - O ile on... oni... nie zabiorą nam naszego malca...

Tydzień później stało się już najzupełniej jasne, że Bordent nie ma zamiaru naruszać praw rodzicielskich - a przynajmniej nie bardziej niż to było niezbędne i tylko dwie godziny dziennie. Przez ten czas czterech mini-ludzików wypełniało swe zadania wtłaczając do głowy Aleksandra całą wiedzę, jaką jego, wprawdzie super, lecz jednak dziecinny, umysł mógł wchłonąć. Nie posługiwali się klocekami, dziecinnymi rymowankami czy liczydłami. Broń, której używali w tej bitwie, była tajna, przyszłościowa, ale skuteczna. Nie ulegało wątpliwości, że czegoś Aleksandra nauczyli. I jak witamina B1, która, gdy podleje się nią korzenie, wywołuje rośnięcie rośliny, tak witamina nauk karzełek nasyciła Aleksandra i jego umysł potencjalnego supermana, toteż zareagował rozwijając się w błyskawicznym tempie.

Czwartego dnia już zrozumiałe mówił. Siódmego dnia z łatwością mógł prowadzić konwersację, jakkolwiek niemowlęce mięśnie twarzy, niedostatecznie wyćwiczone, szybko się męczyły. Policzki miały wciąż jeszcze kształt właściwy ssącym oseskom; nie był jeszcze całkowicie człowiekiem, jeśli nie liczyć pojedynczych wypadków. Jednakże zdarzało się to teraz coraz częściej i gęściej.

Na dywanie panował straszny nieład. Ludziki już nie zabierały ze sobą przyborów, zostawiały je do użytku Aleksandra. Malec pełzał nie trudił się teraz zbyt chodzeniem, bo raczkował bardziej skutecznie - między owymi Przedmiotami, wybierał niektóre z nich i zestawiał ze sobą. Myra poszła do sklepu. Ludziki pojawiają się nie wcześniej niż za pół godziny. Calderon, zmęczony całodzienną pracą na uniwersytecie, nalał sobie whisky z wodą sodową i obserwował swego potomka.

- Aleksandrze! - zawołał.

Aleksander nie odpowiedział. Dopasował jakiś Przyrząd do jakiejś Rzeczy, umieścił ją w specyficzny sposób w Czymś Innym i siadł z zadowoloną miną. Potem dopiero spytał:

- Co?

Nie była to wymowa doskonała, ale słowo brzmiało jednoznacznie. Aleksander mówił trochę tak jak bezzębny staruszek.

- Co robisz? - spytał ojciec.

- Nic.

- Co takiego?

- Nic.

- Nic?

- Ja wiem, co - rzekł Aleksander - a to wystarczy.

- Aha, rozumiem. - Calderon spojrział na cudowne dziecko z lekką obawą. - Nie chcesz mi

powiedzieć?

- Nie.

- No cóż, w porządku.

- Przynieś mi picie - polecił Aleksander.

Przez głowę Calderona przemknęła szalona myśl, że malec domaga się whisky z wodą sodową. Potem westchnął, podniósł się i wrócił z butelką.

- Mleka - powiedział Aleksander, odmawiając picia podawanego mu napoju.

- Mówiłeś, że chcesz pić, a woda to picie, nie? - Na Boga, zapuszczam się w dyskursy z dzieciakiem. Traktuję malca jak... jak dorosłego. A przecież to nie dorosły, tylko tłuściutki bobas siedzący na tyłeczku na dywanie i bawiący się Małym Konstrukтором.

Zabawka powiedziała coś ciekawym głosem. Aleksander mruknął:

- Powtórz!

I zabawka rzeczywiście to uczyniła.

- Co to jest? - zapytał Calderon.

- Nie.

- Bzik.

Calderon udał się do kuchni i przyniósł mleko. Sobie nalał następną whisky. Czuł się tak, jakby nagle wpadli w odwiedzin y krewni, nie widziani od dziesięciu lat. Jak do licha p o s t ę p o w a ć z superdzieckiem?

Zaopatrzywszy Aleksandra w mleko, został w kuchni. Właśnie Myra zachrobotła kluczem w zamku drzwi wejściowych. Jej krzyk ciągnął męża w popłochu do pokoju.

Aleksander wymiotował z miną naukowca zaabsorbowanego fascynującym zjawiskiem.

- Aleksandrze! - krzywała Myra. - Kochanie, czy ci niedobrze?

- Nie - odparł Aleksander. - Wypróbuj proces zwracania pokarmu. Muszę się nauczyć kontrolować narządy trawienne.

Calderon, uśmiechając się krzywo, oparł się o drzwi.

- No tak, powinieneś zacząć z tym już teraz.

- Zmęczyłem się - oznajmił Aleksander. - Sprzątnijcie to.

Trzy dni później dzieciak zdecydował, że jego płuca wymagają ćwiczeń. Zaczął wrzeszczeć. Wrzeszczał o każdej porze, z ciekawymi wariantami: pianiem, rykiem; zawodzeniem, wysokim, piskliwym wyciem. I nie przestał, dopóki nie był z siebie zadowolony. Sąsiedzi złożyli zażalenie.

- Kochasie, może wbijeś sobie szpilkę? - pytała Myra. - Pozwól, niech zobaczę.

- Idź sobie - odparł Aleksander. - Jesteś za gorąca. Otwórz okno. Chcę świeżego powietrza.

- Dobrze, kochanie. Naturalnie.

Wróciła do łóżka i Calderon otoczył ją ramieniem. Wiedział, że rano będzie miała sińce pod oczami. Aleksander nadal wrzeszczał w swoim łóżeczku.

I tak mijały dni. Czterech ludzików przychodziło codziennie, żeby uczyć Aleksandra. Zadowoleni byli z czynionych przez małego postępów. Nie uskarżali się, kiedy Aleksander folgował swoim zachciankom, takim jak walenie ich po nosach czy też rozszarpywanie na strzępy papierowych ubrań. Bordent klepnął się po metalowym hełmie i uśmiechnął triumfalnie w stronę Calderona.

- Robi postępy. Rozwija się.

- Nie posiadam się ze zdumienia. A co z dyscypliną? Aleksander oderwał się od zajęć z Quatem i oznajmił:

- Ludzka dyscyplina mnie nie dotyczy, Josephie Calderon.

- Nie nazywaj mnie Josephem Calderon. Ostatecznie jestem twoim ojcem.

- To prymitywna biologiczna konieczność. Nie jesteś wystarczająco rozwinięty, żeby nauczyć mnie dyscypliny, której potrzebuję. Twoje zadanie to zapewnienie mi pieczy rodzicielskiej.

- Och, więc tylko inkubator - zauważył Calderon.

- Ale ubóstwiony - uspokajał go Bordent. - Praktycznie rzecz biorąc logos. Rodzic nowej odmiany człowieka.

- Czuję się raczej jak Prometeusz - odparł lodowato rodzic nowej odmiany człowieka. - On też był potrzebny. I skończył, tak, że sęp wydziobał mu wątrobę.

- Nauczy się pan wiele od Aleksandra.

- On twierdzi, że nie jestem zdolny do pojęcia tego.

- No, a czyż tak nie jest?

- Z pewnością. Ja jestem po prostu typowym tatusiem - powiedział Calderon i pogrążywszy się w smętnym milczeniu obserwował Aleksandra, który pod baczynym okiem Quata montował jakieś urządzenie z migotliwego szkła i metalowej spirali.

- Quat! Uważaj na jajko! - odezwał się nagle Bordent.

Finn chwycił niebieskawy jajowaty przedmiot, zanim mogła go dosięgnąć pulchna rączka Aleksandra.

- Nie jest niebezpieczne - zapewnił Quat. - Nie zostało podłączone.

- Mógł był je podłączyć.

- Chcę to jajko - odezwał się Aleksander. - Daj mi je.

- Jeszcze nie teraz, Aleksandrze - tłumaczył Bordent. - Najpierw musisz się nauczyć właściwego podłączenia. Inaczej mogłoby ci wyrządzić krzywdę. Potrafię to zrobić.

- Jeszcze nie jesteś na tyle logiczny, żeby zważyć swoje możliwości i braki. Później to będzie bezpieczne. Myślę teraz zapewne trochę filozoficznie. No, Dobish?

Dobish kucnął i przyłączył się do Aleksandra. Myra wyszła z kuchni, obrzuciła szybkim spojrzeniem całą scenę i wycofała się pospiesznie. Calderon podążył za nią.

- Nigdy się nie przyzwyczaję do tego, nawet gdybym żyła tysiąc lat - powiedziała wolno i dobitnie, odcinając zakalcowaty brzeg placka. - On jest moim dzieckiem tylko wtedy, kiedy śpi.

- Nie będziemy żyć tysiąc lat - zapewnił ją Calderon. - Za to Aleksander tak. Szkoda, że nie możemy znaleźć posługaczki.

- Próbowałam znowu dzisiaj - powiedziała znużonym głosem Myra. - Bez skutku. Wszystkie teraz pracują w zakładach zbrojeniowych. Wspominałam o dziecku.

- Nie możesz robić tego wszystkiego sama.

- Ty mi pomagasz, kiedy możesz. Tylko że też ciężko pracujesz. Ale wiecznie tak nie będzie.

- Ciekaw jestem, czy gdybyśmy mieli następne dziecko, to...

- I ja jestem ciekawa. Ale myślę, że mutacje nie są takie pospolite. Zdarzają się raz w życiu. Zresztą nie wiemy.

- Tak czy inaczej, to nie ma teraz znaczenia. Na razie wystarczy nam najzupełniej jedno dziecko.

Myra spojrzała w stronę drzwi.

- Czy tam wszystko w porządku? Zobacz. Martwię się.

- W porządku.

- Wiem, ale bo niebieskie jajko... Bordent mówił, że jest niebezpieczne. Sama słyszałam.

Calderon zajrzał przez uchylone drzwi. Czterech karzełek siedziało naprzeciw Aleksandra, który miał zamknięte oczy. Nagle malec otworzył oczy i spojrzał gniewnie na ojca.

- Nie wchodź - nakazał. - Naruszasz kontakt.

- Najmocniej przepraszam - rzekł Calderon wycofując się z pokoju. - W porządku, Myro, jego dyktatorska małość jest cała i zdrowa. - To przecież superman - powiedziała niepewnie.

- Nie, to superdziecko, a to różnica.

- Jego najnowsza mania - mówiła Myra pochylając się nad piecykiem - to zagadki. Albo coś w rodzaju zagadek. Czuję się taka speszona, kiedy nie umiem zgadnąć. Ale on mówi, że to dobre dla jego jaźni. Kompensuje mu to fizyczną słabość.

- Zagadki, patrzcie no! Ja też znam kilka.

- Dla niego to będzie kaszka z mlekiem - stwierdziła Myra z ponurą pewnością.

I rzeczywiście. "Będiesz dobrym synem, jeśli powiesz, co leci kominem" spotkało się z pogardą, na jaką zasługiwało. Aleksander poddał analizie ojcowskie zagadki, przepuścił je przez swój logiczny umysł, odkrył ich słabe punkty, potknięcia semantyczne i logiczne, po czym zagadki odrzucił. Albo też rozwiązał je, odpowiadając z tak niezwykłą celnością, że Calderon poczuł się zbyt zażenowany, by podać właściwą odpowiedź. Ograniczył się do zapytania, jaka jest różnica między krukiem a biureczkiem, a ponieważ nawet Zwariowany Kapelusznik nie potrafił rozwiązać swojej zagadki, z lekkim przerażeniem stwierdził, że przyszło mu wysłuchać wykładu o ornitologii porównawczej. Następnie pozwolił się Aleksandrowi nękać infantylnymi dowcipami dotyczącymi relacji promieni gamma i fotonów i próbował zachować filozoficzny spokój. Niewiele jest rzeczy tak irytujących jak zagadki dziecka. Jego kpiący triumf zamienia się w proch, w którym się tarzasz.

- Och, dajże spokój ojcu - powiedziała Myra wchodząc do pokoju z rozwianym włosom. - Usiłuje czytać gazetę.

- Wszystkie te informacje są bez znaczenia.

- Oglądam ,historyjkę obrazkową - sprostował Calderon. - Chcę się dowiedzieć, czy Katzenjammerzy" odpłacą Kapitanowi za zawieszenie ich pod wodospadem.

- Formuła humoru z kategorią bezsensowności - rozpoczął uczenie Aleksander, ale oburzony Calderon wyniósł się do sypialni, gdzie dołączyła do niego Myra.

- Zamęcza mnie znowu zagadkami - zakomunikowała. - Zobaczmy, co zrobili Katzenjammerzy.

- Wyglądasz dość mizernie. Jesteś zaziębiona?

- Nie, po prostu nie zrobiona. Aleksander poinformował mnie, że choruje od zapachu pudru.

- I co z tego! Nie jest przecież mimozą.

- Ale choruje. Oczywiście robi to naumyślnie. - Pasłuchaj, znowu tu idzie. Czego chcesz?

Aleksander chciał tylko mieć audytorium. Wymyślił nowy sposób wydawania imbecylnych dźwięków przy użyciu palców i warg. Niekiedy normalne fary rozwoju dziecka okazywały się trudniejsze do zniesienia niż okresy, superdziecka. Po miesiącu Calderon poczuł, że najgorsze jest jeszcze przed nimi. Aleksander wkraczał na te tereny wiedzy, na których nie stanęła ludzka stopa; i nabrał zwyczaju przypinania się do ojca niczym pijawka, by wysać mu mózg jak cytrynę, w pogoni za najdrobniejszymi okruchami wiedzy zgromadzonej przez tego nieszczęśnika.

Podobnie postępował z Myrą. Świat był dla niego skarbnicą wszelkich wiadomości. Zachłannie wszystkim się interesował, toteż w domu nic się nie mogło ukryć przed jego okiem. Calderon uciekał się do zamykania przed synem drzwi sypialni na noc - łóżeczko Aleksandra stało teraz w innym pokoju - ale wściekle ryki mogły go zbudzić o każdej porze.

W samym środku przygotowań do obiadu Aleksander zmuszał Myrę do przerywania krzątania i wyjaśniania mu kalorycznych tajników funkcjonowania piecyka. Wyciągnął z niej wszystko, co wiedziała, potem przerzucił się na bardziej zawile aspekty tej kwestii i natrząsał się z jej ignorancji. Odkrył, że Calderon jest fizykiem - fakt troskliwie przed nim dotąd ukrywany - toteż piłował ojca niemiłosiernie. Zadawał mu pytania z geodezji i geopolityki. Dopytywał się o stekowce i jednoszynowce. Interesował się galerami i biologią. Lecz był sceptyczny i powątpiewał w głębię ojcowskiej wiedzy.

- Jednakże ty i Myra Calderon to moje najbliższe kontakty z homo sapkiem, a więc to dopiero początek. Odłóż papierosa. Szkodzi moim płucem.

- Dobra - zgodził się Calderon. Podniósł się ze znużeniem, z towarzyszącym mu teraz stałe uczuciem, że przepędzany jest z pokoju do pokoju, i wyruszył na poszukiwanie Myry. - Wkrótce przyjdzie Bordent. Możemy się gdzieś wybrać, co ty na to?

- Byczo! - W okamgnieniu znalazła się przed lustrem i zaczęła sobie poprawiać fryzurę. - Powinnam zrobić trwałą. Gdybym tylko miała czas!...

- Wezmę jutro wolny dzień i posiedzę w domu. Potrzebujesz wypoczynku.

- Och, nie, kochanie. Zbliżają się egzaminy. Po prostu nie możesz tego zrobić.

Aleksander wrzeszczał. Okazało się, że chce, by matka coś zaśpiewała. Interesowała go skala dźwiękowa homo sapka oraz prawdopodobny efekt emocjonalny i nasenny kołysanek. Calderon przygotował sobie drinka, usiadł w kuchni i zapalił papierosa rozmyślając o oszalałym przeznaczeniu swego syna. Myra przestała śpiewać, czekał więc na płacz Aleksandra, tymczasem panowała cisza aż do momentu, kiedy wbiegła lekko rozhisteryzowana Myra i trzęsąc się, z wytrzeszczonymi oczami rzuciła się ku niemu.



- Joe! - Padła mu w ramiona. - Szybko, daj mi whisky albo... trzymaj mnie mocno, albo sama już nie wiem co!

- Co się dzieje? - Wcisnął jej do ręki butelkę, podszedł do drzwi i wyjrzał. - Aleksander? Jest spokojny. Je cukierka.

Myra nie zawracała sobie głowy sięganiem po szklaneczkę. Szyjka butelki dzwoniła jej o zęby.

- Spójrz na mnie. Tylko spójrz na mnie. Jestem w strasznym stanie.

- Co się stało?

- Och, nic. Zupełnie nic. Aleksander uprawia czarną magię, tylko tyle. - Opadła na krzesło i otarła sobie dłonią czoło. - Czy ty wiesz, co właśnie zrobił ten nasz genialny syn?

- Ugryzł cię - zaryzykował przypuszczenie Calderon ani przez chwilę nie powątpiewając w tę możliwość.

- Gorzej, znacznie gorzej. Poprosił mnie o cukierka. Powiedziałam, że w domu nie ma cukierków. Wtedy kazał mi iść na dół do sklepu i kupić. Tłumaczyłam, że musiałabym się najpierw ubrać, a ponadto że jestem zmęczona.

- Dlaczego nie poprosiłaś mnie, żebym poszedł?

- Nie miałam kiedy. Zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, ten infantylny Merlin machnął magiczną pałeczką albo czymś w tym rodzaju i... i... już byłam w sklepie na dole. Koło kontuaru z cukierkami. Calderon zamrugał oczami.

- Spowodował amnezję?

- Bez najmniejszego odstępstwa czasowego. Po prostu tak... fiku-miku... i już tam stałam. W tych łachach, bez odrobiny pudru, z włosami w strąkach. W sklepie była też parni Busherman i kupowała kurczaka, no wiesz, ta kocica z przeciwka, była tak uprzejma, że powiedziała mi, że powinnam bardziej dbać o siebie. Miau! - zakończyła z furią Myra. - Wielki Boże!

- Teleportacja, tak to nazywa Aleksander. Nauczył się czegoś nowego. Nie zamierzam tego dłużej wytrzymywać, Joe. Nie jestem ostatecznie szmacianą lalką. - Myra była bliska ataku hysterii.

Calderon wszedł do pokoju i stanął przypatrując się swojemu dziecku. Aleksander miał buzię umazaną czekoladą.

- Posłuchaj, mądralo - powiedział do malca. - Masz zostawić matkę w spokoju, słyszysz?

- Nic jej nie zrobiłem - stwierdziło cudowne dziecko niewyraźnie. - Po prostu byłem zręczny.

- Więc nie bądź taki zręczny. A gdzie się nauczyłeś tej sztuczki? - Teleportacji? Quat pokazał mi ją wczoraj. On sam tego zrobić nie potrafi, ale ja jestem superman Wolny Iks, więc potrafię. Nie opanowałem jeszcze całkowicie tej umiejętności. Gdybym spróbował przeteleportować

Myrę Calderon, powiedzmy, do Jersey, mógłbym przez pomyłkę upuścić ją do rzeki Hudson.

Calderon zamruczał coś mało pochlebnego.

- Czy to wyraz pochodzenia anglosaskiego?

- Mniejsza o to. A w każdym razie nie powinieneś opychać się czekoladą. Rozchorujesz się. Matka już się przez ciebie rozchorowała. I mnie przyprawiasz o mdłości.

- Idź stąd - powiedział Aleksander. - Chcę się skoncentrować na smaku.

- Nie, mówiłem, że się pochorujesz. Czekolada jest zbyt ciężko strawna dla ciebie. Oddaj mi ją. Zjadłeś już dosyć. - Calderon wyciągnął rękę po papierową torebkę, ale w tym momencie Aleksander zniknął. W kuchni rozległ się pisk Myry.

Calderon jęknął zniechęcony i zawrócił do kuchni. Jak przypuszczał, Aleksander tam był, na piecu, i żarłocznie pchał sobie do ust czekoladowy cukierek. Myra zajmowała się butelką.

- Co za dom - powiedział Calderon. - Dziecko teleportuje się po całym mieszkaniu, ty zalewasz się w kuchni, a mnie grozi załamanie nerwowe. - Zaczął się śmiać. - Okay, Aleksandrze, możesz sobie zatrzymać cukierki. Wiem, kiedy należy strategicznie skrócić linię obrany.

- Myro Calderon - odezwał się Aleksander - chcę wrócić do tamtego pokoju.

- Pofruń - zaproponował Calderon. - Chodź, zaniosę cię.

- Nie ty, ona. Chodzi w lepszym rytmie.

- Zatacza się, to masz na myśli - skonstatowała Myra, ale posłusznie odstawiła butelkę, powstała i wzięła na ręce Aleksandra. Wyszła z kuchni. Calderon wcale się nie zdziwił słysząc po chwili jej krzyk. Kiedy dołączył do szczęśliwej rodzinki, Myra siedziała na podłodze, rozcierając sobie ramiona i zagryzając wargi. Aleksander się zaśmiewał.

- Co znowu?

- Poraził mnie prądem - odparła Myra dziecinnym głosem. Jak węgorz elektryczny. I zrobił to umyślnie. Och, Aleksandrze, przestaniesz już się śmiać czy nie?

- Upadłaś - szczebiotał triumfalnie malec. - Wrzasnęłaś i upadłaś. Calderon spojrzał na Myrę i zacisnął usta.

- Czy zrobiłaś to umyślnie? - spytał.

- Tak. Ona upadła i wyglądała tak śmiesznie.

- Ty będziesz wyglądał o wiele śmieszniej za chwilę. Superman Wolny Iks czy nie, zasłużyłeś sobie na porządny klapsa.

- Joe - zawołała ostrzegawczo Myra.

- Daj mi spokój, Musi się nauczyć respektować prawa innych.

- Jestem homo superior - oznajmił Aleksander z taką miną, jakby wysunął rozstrzygający argument.

- Mam zamiar rozprawić się z homo posteriore - zapowiedział Calderon próbując złapać syna. Nagle doznał silnego wstrząsu. Jego system nerwowy poraził płocnień paraliżującej energii; odrzuciło go sromotnie do tyłu; rąbnął w ścianę waląc w nią głową. Aleksander śmiał się do rozpuku.

- Ty też upadłeś - zaszczebiotał. - Wyglądasz śmiesznie.

- Joe - krzyknęła Myra. - Joe, zrobiłeś sobie coś?

Calderon odparł kwaśno, że przypuszcza, iż wyjdzie z tego z życiem. Jakkolwiek, dodał, byłoby chyba mądrze zaopatrzyć się w szyny i zapas plazmy.

- Na wypadek gdyby okazało się, że interesuje go wiwisekcja wyjaśnił.

Myra spojrzała na Aleksandra z pełnym troski namysłem. - Mam nadzieję, że żartujesz.

- Ja też.

- Przyszedł Bordent. Porozmawiajmy z nim.

Calderon otworzył drzwi. Czterech ludzików weszło z poważnymi misami. Nie marnowały czasu. Otoczywszy wianuszkami Aleksandra, wyjęły z zakamarków swoich papierowych ubrań nowe przyrządy i zabrały się do pracy.

Malec powiedział:

- Przteleportowałem ją na odległość około dwudziestu pięciu kilometrów.

- Tak daleko? - spytał Quat.

- Zmęczyłeś się?

- Ani trochę.

Calderon odciągnął Bordenta na bok.

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Myślę, że Aleksandrowi przydałoby się lanie.

- Na Foba! - krzyknął wstrząśnięty karzełek. - Ależ on jest A l e k s a n d r e m! To superman Wolny Iks!

- Jeszcze nie. Na razie jest jeszcze dzieckiem.

- Ale superdzieckiem. Nie, Josephie, Calderon. Muszę raz jeszcze powtórzyć, że środki

dyscyplinarne mogą być stosowane wyłącznie przez dostatecznie inteligentne autorytety.

- Przez was?

- Och, jeszcze nie - odparł Bordent. - Nie chcemy go przeciążać. Nawet superumysł ma swoje ograniczenia, szczególnie w fazie kształtowania. Aleksander ma co robić, a jego stosunek do kontaktów towarzyskich nie wymaga jeszcze przez jakiś czas formowania.

Dołączyła do nich Myra i wtrąciła się do rozmowy:

- Tu się z wami nie zgadzam. Jak wszystkie dzieci jest nastawiony antytowarzysko. Może sobie dysponować mocami nadludzkimi, ale jeśli w grę wchodzi równowaga umysłowa i uczuciowa to Aleksander jest podczłowiekiem.

- Taak - zgodził się Calderon. - A sprawa aplikowania nam wstrząsów elektrycznych...

- On się tylko bawi - zapewniał Bordent.

- I ta teleportacja. Wyobraźmy sobie, że przeteleportuje mnie na. Time Square, kiedy będę pod prysznicem.

- To taka zabawa. Wciąż przecież jest dzieckiem.

- A co z nami?

- Wy odziedziczyliście rodzicielską cierpliwość - wyjaśnił Bordent. - Jak już mówiłem, Aleksander i taka jak on odmiana człowieka to główna przyczyna, dla której wykształciła się cierpliwość. Nie ma takiej potrzeby, jeśli chodzi o homo sapka. Mam na myśli to, że wielki dystans oddziela normalną cierpliwość od normalnej irytacji. Zwykle dziecko może niekiedy doprowadzić rodziców do kresu cierpliwości, ale tylko tyle. Irytacja jest zbyt mała, by wyczerpać olbrzymie zapasy cierpliwości, jakimi dysponują rodzice. Inaczej jednakże sprawa się ma w wypadku Wolnych Iksów.

- Nawet cierpliwość ma swoje granice - powiedział Calderon. Zastanawiam się nad złością.

Bordent potrząsnął świecą, powleczoną metalizującą osłoną, głową.

- On was potrzebuje.

- Ale - wtrąciła Myra - ale! Czy nie moglibyście go choć trochę skarcić?

- Och, to nie jest konieczne. Jego umysł jeszcze się nie rozwinął, więc musi się skoncentrować na sprawach znacznie ważniejszych. Musicie to wytrzymać.

- Zupełnie jakby to już nie było nasze dziecko - mruknęła. To nie jest Aleksander.

- Ależ tak. Właśnie tank. T o j e s t A l e k s a n d e r!

- Posłuchaj, to normalne, że matka pragnie przytulić swoje dziecko. Tylko że jak może to zrobić, jeśli spodziewa się, że dziecko rzuci ją przez pół pokoju?

Calderon pograżył się w myślach.

- Czy dorastając zyska więcej... więcej supermocy?

- O tak. Naturalnie.

- Stanowi groźbę dla życia i zdrowia. Ja wciąż twierdzę, że zasłużył na karę. Następnym razem włożę gumowe rękawiczki.

- To nic nie da - rzekł marszcząc brwi Bordent. - Ponadto muszę nalegać... nie, Josephie Calderon, nie wolno panu ingerować. Nie zdoła pan go utrzymać w ryzach, których zresztą i tak nie potrzebuje.

- Jedno lanie - powiedział Calderon pełen zadumy. - Nie po to, żeby się zemścić, lecz by mu pokazać, że musi respektować prawa innych ludzi.

- On się nauczy respektować prawa innych Wolnych Iksów. Nie wolno panu próbować niczego takiego. Lanie, jeśli nawet się panu uda mu je sprawić, w co wątpię, może wypaczyć go psychicznie. Jego nauczycielami, jego mentorami jesteśmy my. Musimy go o c h r a n i a ć. Rozumiecie?

- Myślę, że tak - rzekł wolno Calderon. - To groźba.

- Jesteście rodzicami Aleksandra, ale to Aleksander się liczy. Jeśli będę musiał użyć wobec was środków dyscyplinarnych, to ich użyję. - Och, mniejsza o to - westchnęła Myra. - Joe, chodźmy na spacer do parku, kiedy jest tu Bordent.

- Wróćcie za dwie godziny - powiedział mały człowieczek. Do widzenia.

Mijały dni, a Calderon nie mógł się zdecydować, co jest bardziej irytujące, czy okresy imbecylności Aleksandra, czy przenikliwej inteligencji. Cudowne dziecko nauczyło się nowych sztuczek; najgorsze zaś było to, że Calderon nigdy nie wiedział, co go czeka albo kiedy zaskoczy go jakiś zdumiewający kawał. Jak wtedy, gdy bryłka lepkich cukierków, zwędzonych ze sklepu dzięki zręcznej teleportacji, zmaterializowała się w jego łóżku. Aleksandrowi wydawało się to szalenie zabawne i zaśmiewał się do rozpuku.

Albo wtedy gdy Calderon odmówił pójścia do sklepu i kupienia cukierków, gdyż - jak twierdził - nie ma pieniędzy.

- Nie próbuj mnie teleportować, bo jestem bez grosza.

Aleksander spożytkował energię psychiczną w sposób szokujący; wypaczając reguły przyciągania ziemskiego. Calderon stwierdził, że wisi w powietrzu głową w dół i coś nim potrząsa, a monety sypią się strumieniem z jego kieszeni. Poszedł kupić cukierki.

Poczucie humoru rozwinęło się przede wszystkim z okrucieństwa. Im prymitywniejszy umysł, tym mniejsza wybredność. Kanibala będą zapewne śmieszyć do łez katusze gotowanej w kotle ofiary. Ktoś pośliznął się na skórcie od banana i złamał kark. Człowiek dorosły przestaje się w tym momencie śmiać, tymczasem dziecko nie. A dla cywilizowanego osobnika zażenowanie jest tak samo przygnębiającym przeżyciem jak ból fizyczny. Niemowlę, dziecko, imbecyl nie potrafią się wczuć w kogoś, nie umieją się utożsamić z innym osobnikiem. Są autentyczni, a ich własne zasady arbitralne. Śmieci rozrzucone po całej sypialni nie rozśmieszały ani Myry, ani Calderona.

W ich domu był mały człowiek, ale nikt się z tego nie cieszył. Prócz Aleksandra. On się bawił doskonale.

- Nie ma chwili spokoju - utyskiwał Calderon. - On zjawia się wszędzie i o każdej porze. Kochanie, chciałbym, żebyś wybrała się do doktora.

- I co mi przepisze? - spytała Myra. - Odpoczynek i tyle. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że upłynęły dwa miesiące od chwili, kiedy Bordent wziął w swoje ręce edukację Aleksandra?

- Zrobiliśmy nadzwyczajne postępy - rzekł Bordent zbliżając się do nich.

Quat pozostawał w kontakcie z Aleksandrem na dywanie, tymczasem dwa inne karzelki przygotowywały montaż nowych urządzeń.

- A raczej to Aleksander zrobił wielkie postępy.

- Potrzebujemy odpoczynku - warknął Calderon. - Jeśli stracę posadę, kto będzie utrzymywał tego waszego geniusza?

Myra spojrzała na męża, zauważywszy, jakiego użył zaimka dzierżawczego.

- Ma pan kłopoty? - zainteresował się Bordent.

- Dziekan rozmawiał ze mną raz czy dwa razy. Nie mogę już utrzymać w ryzach studentów na zajęciach. Jestem poirytowany.

- Nie musi pan trwonić swojej cierpliwości na studentów. Jeśli chodzi o pieniądze, to możemy pana w nie zaopatrzyć. Zajmę się zorganizowaniem pewnej liczby obiegowych monet.

- Ale ja chcę pracować. Lubię swoją pracę.

- Pańska praca to Aleksander.

- Muszę mieć służącą - wtrąciła Myra wyglądając dość bezradnie. - Czy nie moglibyście mi sprokurować jakiegoś robota czy czegoś w tym rodzaju? Aleksander wystraszył wszystkie dziewczyny, jakie udało mi się ugodzić. Żadna nie wytrzyma w tym domu wariatów.

- Mechaniczna inteligencja miałyby zły wpływ na Aleksandra oświadczył Bordent. - Nie.

- Chciałabym od czasu do czasu zaprosić kogoś w odwiedziny albo iść gdzieś z wizytą, albo po prostu być sama - westchnęła Myra.

- Pewnego dnia Aleksander dorośnie i otrzymacie nagrodę jako jego rodzice. Czy mówiłem wam już, że mamy wasze podobizny w Sali Wielkich Staroświeckich?

- Muszą być straszne - rzekł Calderon. - Wiem, że my wyglądamy teraz strasznie.

- Bądźcie cierpliwi. Myślcie o przeznaczeniu waszego syna.

- Myślę. Często. Ale on robi się męczący. Mówiąc oględnie.

- I tu wchodzi w grę cierpliwość - zauważył Bordent. - Natura zaplanowała wszystko z myślą o nowej odmianie człowieka.

- Hm.

- On pracuje teraz nad sześciowymiarowymi abstrakcjami. Wszystko idzie jak z płatka.

- Taak - przyznał Calderon i mruczając coś pod nosem poszedł do kuchni za Myrą.

Aleksander z łatwością posługiwał się swoimi przyrządami, jego pulchne paluszki stały się teraz silniejsze i bardziej pewne. Wciąż jeszcze żywił niezdrową ciekawość wobec niebieskiego jaja, którym wolno mu było posługiwać się jedynie pod baczny okiem mentorów. Kiedy lekcja dobiegła końca, Quat wybrał kilka przedmiotów i schował je, jak zwykle, w szafce. Resztę zostawił na dywanie, żeby zapewnić pomysłowości Aleksandra pole do popisu.

- On się rozwija - zapewniał Bordent. - Dziś zrobiliśmy wielki krok do przodu.

Myra i Calderon weszli właśnie do pokoju i usłyszeli jego słowa.

- A mianowicie w czym?

- W usuwaniu psychicznej blokady. Aleksander nie będzie już musiał spać.

- Co? - spytała Myra.

- Nie będzie potrzebował snu. To i tak sztuczny zwyczaj. Supermani nie muszą spać.

- Nie będzie już spał, tak? - upewniał się Calderon. Wyraźnie zbladł.

- Tak jest. Będzie się teraz rozwijać szybciej, dwukrotnie szybciej. O pół do czwartej rano Calderon i Myra leżeli w łóżku, nie zmrzywszy nawet oka, widząc przez otwarte drzwi palące się a giorno światła, przy których bawił się Aleksander. Widzieli go wyraźnie, jak na oświetlonej scenie. Wyglądał teraz zupełnie inaczej. Różnica była subtelna, niemniej była. Pod złocistym puszkim głowa zmieniła nieco kształt, a jego buzia o dziecięcych niewyraźnych rysach nabrała inteligentnego, rezolutnego wyrazu. Nie wyglądało to wcale ładnie, ten wyraz jakoś do niej nie pasował. W rezultacie Aleksander wyglądał nie tyle jak superdziecko, ile jak

jakiś prymitywny podstarzały osobnik. Całe właściwe dzieciom okrucieństwo i egoizm - najzupełniej zdrowe i naturalne cechy u rozwijającego się malca - uwidaczniały się na jego obliczu, kiedy tak bawił się kryształowymi klockami, które dopasował do siebie jakby w jakiejś skomplikowanej łamigłówce. Ta twarz przyprawiała o dreszcz.

Calderon usłyszał westchnienie Myry.

- To już nie jest nasz Aleksander - powiedziała. - Absolutnie nie.

Aleksander podniósł głowę i raptem zalał się łzami. Kiedy otworzył usta i zaczął z wściekłością wrzeszczeć, rozrzucając na wszystkie strony klocki, przysnęło wrażenie paradoksalnej starości i związanej z nią degeneracji. Calderon zobaczył, że jeden z klocków przeturlał się przez drzwi do sypialni i upadł na dywan, a z jego wnętrza wysypało się mnóstwo mniejszych i jeszcze mniejszych klocków, które potoczyły się migocąc w jego stronę. Wrzaski Aleksandra rozbrzmiewały w całym mieszkaniu. Wkrótce poczęły się zatrzaskiwać okna od podwórza, a teraz zadzwonił telefon. Calderon z westchnieniem sięgnął po słuchawkę.

Kiedy ją odłożył, skrzywił się i spojrzał na Myrę. Przekrzykując wrzask oznajmił:

- Zawiadomiono nas, że musimy się wyprowadzić.

- Och! No cóż - rzekła Myra.

- Koniec pieśni!

Milczeli oboje przez chwilę, po czym Calderon powiedział:

- Jeszcze dziewiętnaście latek. Myślę, że możemy oczekiwać czego takiego. Oni mówili, że powinien dojrzeć, jak będzie miał dwadzieścia, prawda?

- Będzie sierotą dużo wcześniej - jęknęła Myra. - Och, moja głowa! Myślę, że zaziębiłam się, gdy przeteleportował nas na dach przed obiadem. Joe, czy sądzisz, że jesteśmy pierwszymi rodzicami, którzy zostali... zostali tak urządzeni?

- Co masz na myśli?

- Czy było jakieś superdziecko przed Aleksandrem? Wydaje się, że zmarnowałyby się chyba wielkie zasoby cierpliwości, gdybyśmy to my mieli jej potrzebować jako pierwsi.

- Przydałoby się nam jej więcej. A będziemy potrzebować jeszcze sporo.

Nic nie mówił przez chwilę, leżał rozmyślając i próbując nie słyszeć rytmicznych ryków swego superdziecka. Cierpliwość. Wszyscy rodzice muszą mieć wiele cierpliwości. Wszystkie dzieci są od czasu do czasu nie do wytrzymania. Ród ludzki z całą pewnością potrzebuje wielkich zasobów miłości rodzicielskiej, by mogły przetrwać ich dzieci. Lecz dotąd żadnych rodziców nie doprowadzano tak konsekwentnie do granic wytrzymałości. Żadni rodzice dotąd nie musieli znosić czegoś takiego przez dwadzieścia lat, w dzień i w nocy, wyczerpani do ostateczności. Miłość rodzicielska to wspaniałe i wszechogarniające uczucie, ale...

- Ciekaw jestem - odezwał się pogrążony w myślach - ciekaw jestem, czy my jesteśmy



pierwsi.

Rozważania Myry biegły w odwrotnym kierunku.

- Przypuszczam, że z tym jest jak z migdałkami i wyrostkiem robaczkowym - mruzczała. - Są zbyt częste, ale wciąż istnieją. Cierpliwość jest odwrotnie, szczątkowa. Istnieje przez całe tysiąclecia w oczekiwaniu na Aleksandra.

- Może. Ciekaw jestem... a jednak, gdyby był już kiedyś jakiś Aleksander, słyszelibyśmy o nim. Więc...

Myra oparła się na łokciu i spojrzała na męża.

- Tak myślisz? - spytała miękko. - Ja nie jestem taka pewna. Myślę, że mogło się to już kiedyś zdarzyć.

Aleksander nagle zamilkł. Przez chwilę w mieszkaniu panowała cisza. Po czym znany głos, tyle że bez słów, rozległ się jednocześnie w ich mózgach.

- Dajcie ani jeszcze trochę mleka. I chcę, żeby było ciepłe, nie gorące.

Joe i Myra spojrzeli na siebie w milczeniu. Myra westchnęła i odrzuciła kołdrę.

- Tym razem ja pójdę - powiedziała. - Coś nowego, co? Ja...

- Nie mitrzyć - polecił głos bez słów. Myra podskoczyła i pisnęła. W pokoju rozległy się wyraźnie trzaski wyładowań elektrycznych, a zza drzwi doleciał gromki śmiech Aleksandra.

- Wydaje mi się, że on jest teraz mniej więcej na poziomie dobrze wykształconej małpy - zauważył Joe wstając z łóżka. - Ja pójdę. Włącz z powrotem. W przyszłym roku może osiągnąć poziom Buszmena. Pot, o ile jeszcze zastaniemy przy życiu, będziemy mieli przyjemność mieszkać z kanibalem dysponującym nadludzkimi umiejętnościami. W końcu może osiągnie poziom dowcipnisia. To powinno być interesujące. - Wyszedł z sypialni mrużąc coś pod nosem.

Dziesięć minut później, powróciwszy do łóżka, Joe ujrzał, że Myra klepie się po kolanach i patrzy w przestrzeń.

- Nie jesteśmy pierwsi, Joe - oznajmiła, nie spojrzawszy na niego. - Rozmyślam i rozmyślam i jestem całkiem pewna, że pierwsi nie jesteśmy.

- Ale przecież nie słyszeliśmy o żadnym dorastającym supermanie...

Obróciła głowę i posłała mu długie, pełne zadumy spojrzenie.

- Nie - przyznała.

Zamilkli. Po chwili odezwał się Calderon:

- Tak, rozumiem, o co ci chodzi.

W bawialni coś trzasnęło. Aleksander zachichotał, a dźwięk rozłupywanego drewna wydawał się w ciszy nocnej bardzo głośny. Gdzieś zatrasnęło się kolejne okno.

- To jest moment przełomowy - powiedziała cicho Myra. Musi być.

- Przesycenie - mruknął Joe. - Przesycenie cierpliwością czy coś w tym rodzaju. To może się zdarzyć.

W polu widzenia ukazał się Aleksander ściskając w dłoniach coś niebieskiego. Siadł i zaczął manipulować błyszczącymi drutami. Myra zerwała się gwałtownie.

- Joe, on ma to niebieskie jajko! Musiał się włamać do szafki.

- Ale Quat mu mówił... - rzekł Calderon.

- To jest niebezpieczne!

Aleksander popatrzył na nich, uśmiechnął się i wygiął druty na kształt kolebki o wielkości jajka.

Calderon uświadomił sobie, że wyskoczył z łóżka i znajduje się w połowie drogi do drzwi. Zatrzymał się, nim do nich dotarł.

- Wiesz - powiedział z namysłem - to jajo może go zranić.

- Będziemy musieli mu je odebrać - zgodziła się Myra, niechętnie i ze znużeniem wstając z łóżka.

- Spójrz na niego - nalegał Calderon. - Spójrz tylko.

Aleksander radził sobie świetnie z drutami, jego ręce to pojawiały się, to znikwały im z oczu, kiedy manipulował tesseractem poniżej kolebki. Osobliwa maska wiedzy nadawała jego pulchnej buzi wyraz senilizmu, który już tak dobrze znali.

- I tak to będzie szło dalej i dalej - burknął Calderon. - Jutro będzie jeszcze mniej podobny do siebie niż dzisiaj. W przyszłym tygodniu, w przyszłym miesiącu... a jak będzie wyglądał za rok?

- Ja wiem - odezwała się Myra jak echo. - A jednak przypuszczam, że będziemy musieli... - Urwała. Stała boso obok męża i patrzyła. - Przypuszczam, że to urządzenie będzie gotowe, jak tylko on podłączy ostatni drut. Powinniśmy mu je zabrać.

- Myślisz, że zdołamy?

- Powinniśmy spróbować.

Spojrzeni na siebie.

- Wygląda jak pisanka. Nie słyszałem jeszcze, żeby pisanka była dla kogoś niebezpieczna - skonstatował Calderon.

- Przypuszczam, że robimy mu naprawdę przysługę - zauważyła cichym głosem Myra. - Dziecko oparzy się i potem boi się ognia. Kiedy malec sparzy się zapalką, na przyszłość zostawi zapalki w spokoju. Stali w milczeniu i patrzyli.

Upłynęły jeszcze pewno ze trzy minuty, zanim Aleksandrowi udało się zrealizować to, o co mu chodziło. Rezultat był doprawdy oszałamiający. Błysk białego światła, huk rozdzierający powietrze i Aleksander zniknął w oślepiającym blasku, pozostawiając po sobie jedynie zapach spalenizny.

Kiedy mogli znowu cokolwiek zobaczyć, ujrzeni z niedowierzaniem pustą przestrzeń.

- Teleportacja? - szepnęła Myra w oszołomieniu. - Pójdę się upewnić.

Calderon przeszedł na ukos przez pokój i stanął przyglądając się mokrej plamie na dywanie, tam gdzie znajdowały się buciki Aleksandra.

- Nie, to nie teleportacja - orzekł, potem odetchnął głęboko. Wyparował. W porządku. A więc nigdy nie dorośnie i nie wyśle w przeszłość Bordenta, żeby wtargnął do nas. To się nigdy nie zdarzyło.

- Nie byliśmy pierwsi - powiedziała niepewnie oszołomiona Myra. - Nadchodzi przełomowy moment i tyle. Jakże mi żal pierwszych rodziców, którzy tego nie doczekali!

Odwróciła się gwałtownie, ale nie na tyle gwałtownie, żeby Calderon nie zobaczył, że płacze. Zawahał się patrząc na drzwi. Pomyślał jednak, że lepiej będzie teraz nie iść za nią.

## **Polisa ubezpieczeniowa na dożywocie**

Kiedy Denny Holt zgłosił się telefonicznie do centrali, czekało na niego wezwanie. Denny nie przyjął go z entuzjazmem. W taki deszczowy wieczór jak dziś o kurs było łatwo, a teraz będzie musiał jechać. zatłoczonymi ulicami aż do Columbus Circle.

- Też coś - powiedział w słuchawkę. - Dlaczego ja? Poślijcie któregoś z chłopaków; facet się nie połapie. Jestem w Village, a ze śródmieścia to kawał drogi.

- On chce ciebie, Holt. Podał twoje nazwisko i numer. Pewnie jakiś twój przyjaciel. Będzie pod pomnikiem... w czarnym płaszczu i z laską.

- Kto to taki?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie powiedział. Jedź już.

Holt niepocieszony odwiesił słuchawkę i wrócił do taksówki. Woda kapała mu z daszka

czapki, deszcz zamazywał szybę. Poprzez zaciemnienie widział rząd słabo oświetlanych drzwi i słyszał szafy grające. W taki wieczór dobrze jest być pod dachem, więc rozważał, czy nie należałoby wpaść do Piwnicy i strzelić sobie żytniówki. Ech, co tam. Zmienił bieg i w ponurym nastroju ruszył wzdłuż Greenwich Avenue.

W tych czasach trudno było nie potrafić przechodnia; mieszkańcy Nowego Jorku nigdy zresztą nie zwracali uwagi na światła, a wskutek zaciemnienia ulice przekształciły się w czarne, cieniste kaniony. Holt wyjeżdżał ze śródmieścia nie zważając na wołania: "Taksówka". Jezdnia była wilgotna i śliska. A opony też nie najlepsze.

Wilgotny chłód przenikał do kości. Stukot silnika nie działał pocieszająco. Pewno niebawem gruchot zupełnie się rozleci. Potem - no cóż, o posadę dziś łatwo, ale Holt odczuwał awersję do ciężkiej pracy. Fabryki zbrojeniowe - mhm.

W zadumie okrążył z wolna rondo Columbus wypatrując pasażera. Oto i on - jedyna sylwetka nieruchomo tkwiąca na deszczu. Inni przechodnie szybko przemykali przez jezdnię, wymijając trolejbusy i samochody.

Holt przystanął i otworzył drzwiczki. Tamten się zbliżył. Miał laskę, lecz był bez parasola i woda lśniła na jego ciemnym płaszczu. Bezkształtny kapelusz z opuszczonym rondem osłaniał mu głowę, a bystre ciemne oczy bacznie wpatrywały się w Holta.

Mężczyzna był stary - zdumiewająco stary. Rysy twarzy ginęły pod zmarszczkami i fałdami obwisłej ziemistej skóry.

- Dennis Holt? - spytał chrapliwie.

- To ja, brachu. Wskakuj i osusz się trochę. Starzec usłuchał.

- Dokąd? - zapytał Holt.

- Co? Jedźmy przez park.

- Do Harlemu?

- No... tak, tak.

Wzruszywszy ramionami Holt skrzył w stronę Central Parku. Wariat. I na oczy go przedtem nie widział. W lusterku obrzucił wzrokiem pasażera. Tamten pilnie wpatrywał się w fotografię taksówkarza i numer jego karty. Najwyraźniej zadowolony odchylił się do tyłu i wyciągnął "Timesa" z kieszeni.

- Zapalić światło? - odezwał się Holt.

- Światło? Tak, proszę bardzo. - Ale nie było mu potrzebne na długo. Wystarczyło, że spojrzął na gazetę, po czym usiadł głębiej, zgasił lampkę i popatrzył na zegarek.

- Która godzina? - zagadnął.

- Około siódmej.

- Siódma. I mamy dziś dziesiątego stycznia 1943.

Holt nie odpowiedział. Pasażer odwrócił się i spojrzął przez tylną szybę. Robił to raz po raz. Po pewnym czasie nachylił się do przodu i znów odezwał do Holta.

- Chciałbyś zarobić tysiąc dolarów?

- Wolne żarty.

- To nie żarty - powiedział mężczyzna i Holt nagle zdał sobie sprawę, że facet ma dziwny akcent, niewyraźnie wymawia spółgłoski, jak Hiszpan rodem z Kastylii. - Mam pieniądze... waszą obecną walutę. Grozi pewne niebezpieczeństwo, więc ci nie przepłacam.

Holt wpatrywał się prosto przed siebie.

- Taak?

- Potrzebna mi obstawa, to wszystko. Próbują mnie uprowadzić czy może nawet zabić.

- Na mnie niech pan nie liczy - odparł Holt. - Odwiozę pana na komisariat. To panu potrzebne.

Coś pacnęło na przednie siedzenie. Holt spojrzął i poczuł, że grzbiet mu sztywnieje. Jedną ręką podniósł zwitek banknotów i przeliczył je palcami. Tysiąc dolców... jeden kawałek.

Pachniały stęchlizną.

- Wierzaj, Denny - rzekł stary. - Potrzebna mi jest twoja pomoc. Nie mogę opowiedzieć ci wszystkiego, bo wzięłbyś mnie za wariata, lecz tyle ci zapłacę za dzisiejsze usługi.

- Nie wyłączając morderstwa? - zaryzykował Holt. - I co pan wyjeżdża z moim imieniem? Pierwszy raz widzę pana na oczy.

- Śledziłem cię... wiem o tobie niejedno. I dlatego wybrałem ciebie. Nie chodzi o nic niezgodnego z prawem. Jeśli będziesz miał podstawy, by sądzić inaczej, w każdej chwili możesz się wycofać i zatrzymać pieniądze.

Holt się zastanowił. Brzmiało to podejrzanie, ale nęcąco. Tak czy siak, pozostawiało mu furtkę. A tysiąc dolców...

- No dobra, kawa na ławę. Co mam robić?

- Próbuję się wymknąć pewnym moim wrogom. Potrzebuję twojej pomocy. Jesteś młody i silny.

- Ktoś usiłuje pana sprzątnąć?

- Sprzątnąć... och. Pewno do tego nie dojdzie. Zabójstwo jest źle widziane, chyba że w ostateczności. Ale wciąż mi deptali po piętach. Maże teraz ich zgubiłem. Nie widzę z tyłu

taksówek...

- Myli się pan - powiedział Holt.

Zapadło milczenie. Starzec znów spojrział przez tylną szybę. Holt uśmiechnął się krzywo.

- Jeśli chce pan ich zmylić, to nie w Central Parku. Łatwiej będzie zgubić pańskich przyjaciół na ruchliwej jezdni. Zgoda, podejmuję się tej roboty. Ale jak poczuje smród, mam prawo się wycofać.

- Doskonale, Denny.

Holt skręcił w lewo na wysokości ulicy Siedemdziesiątej Drugiej.

- Pan mnie zna, ale ja nie znam pana. Co jest grane, że pan mnie sprawdza? Jest pan detektywem?

- Nie. Nazywam się Smith.

- Oczywiście.

- A ty... Denny... masz dwadzieścia lat i jesteś zwolniony ze służby wojskowej ze względu na wadę serca.

- I co z tego? - burknął Holt.

- Nie chcę, żeby cię szlag trafił.

- Nie trafi. Serce ma w porządku i prawie wszystko mogę robić. Tylko lekarz z komisji był innego zdania.

Smith przytaknął.

- Wiem o tym. A więc, Denny...

- Co?

- Musimy się upewnić, czy nikt za nami nie jedzie.

- Założmy, że się zatrzymam przy centrali FBI? - powiedział Holt wolno. - Oni nie lubią szpiegów.

- Jak chcesz. Mogę im udowodnić, że nie jestem wrogim agentem. Nie mieszam się do tej wojny, Denny. Po prostu pragnę zapobiec zbrodni. Jeśli to mi się nie uda, dziś w nocy spłonie donn i zniszczeniu ulegnie pewien cenny wzór.

- Tym się powinna zająć straż pożarna.

- Tylko my dwaj możemy wypełnić to zadanie. Nie wolno mi powiedzieć dlaczego. Tysiąc dolarów, pamiętaj.

Holt pamiętał. Tysiąc dolarów miało dla niego obecnie wielkie znaczenie. Nigdy w życiu nie rozporządzał taką sumą. To był majątek; kapitał na rozpoczęcie czegoś. Holt nie miał wykształcenia. Aż do tej pory wyobrażał sobie, że zawsze będzie wykonywał nudną i żmudną pracę. Ale z kapitałem - no cóż, pomysłów mu nie brakło. Koniunktura była sprzyjająca. Mógłby otworzyć interes; tak się robi forszę. Okrągły tysiączek. Taak. To może oznaczać przyszłość.

Wjechał z parku w ulicę Siedemdziesiątą Drugą i skręcił na południe w Central Park West. Kątem oka dostrzegł skręcającą za nim drugą taksówkę. Próbowała go wyprzedzić. Holt usłyszał, że pasażer dyszy ciężko i coś wykrzykuje. Nacisnął na hamulec, zobaczył, że tamta taksówka ich mija, mocno skręcił kierownicę i dodał gazu. Szybko zawrócił i pomknął z powrotem na północ.

- Spokojnie - rzekł do Smitha.

W drugim wozie siedziało czterech mężczyzn; dojrzał ich w przelocie. Byli gładko ogoleni i w ciemnych ubraniach. Mogli trzymać broń, lecz Holt za to nie ręczył. Teraz i ani zawracali, wymijając inne pojazdy, nie zrażeni trudnościami.

Holt skręcił w lewo w pierwszą nadającą się do tego ulicę, przeciął Broadway i ze skrzyżowania dwupoziomowego wjechał w Henry Hudson Parkway, stamtąd zaś miał skierować się na południe, wrócił po zrobieniu pełnego koła aż na West End Avenue. Tą aleją pomknął na południe i niebawem dotarł do ósmej Alei. Tu jezdnia była bardziej zatłoczona. Pościg stracili z oczu.

- Co teraz? - spytał.

- Ja... nie wiem. Musimy się upewnić, żeśmy ich zgubili - odrzekł Smith.

- Dobra. Będą krążyli w kółko i rozglądali się za nami. Lepiej zmyć się z jezdni. Pokażę panu jak. - Wjechał na parking, kupił bilet i przynaglił Smitha do wyjścia.

- Teraz zaczekamy, aż będzie można bezpiecznie znów ruszyć.

- Gdzie?

- Może w jakimś zacisznym barze? Drink by mi nie zaszkodził. Paskudna noc.

Smith jakby całkowicie oddał się w ręce Holta. Skręcili w Czterdziestą Drugą ulicę, z jej słabo oświetlonymi spelunkami, teatrzykami wodewilowymi, ciemnymi markizami kin i tanimi lokalami rozrywkowymi. Holt przepychał się przez tłum, ciągnąc Smitha za sobą. Przez drzwi wahadłowe weszli do knajpki, bynajmniej nie zacisznej. W rogu ryczała szafa grająca nastawiona na cały regulator.

Holt zwrócił uwagę na pustą łozę w głębi. Usiadł tam i skinąwszy na kelnera poprosił o żytniówkę. Smith po chwili wahania zamówił to samo.

- Znam ten lokal - rzekł Holt. - Jest tu tylne wyjście. Jeśli nas odnajdą, będziemy mogli szybko się wynieść.

Smith zadrzał.

- Niech pan o tym nie myśli - poradził Holt. By go pocieszyć, wyciągnął mosiężny kastet. - Noszę go przy sobie na wszelki wypadek. Więc proszę się odprężyć. A oto i żytniówka. - Wypił jednym haustem i poprosił o następną. Ponieważ Smith nie zdradzał zamiaru płacenia, rachunek uregulował Holt. Mógł sobie na to pozwolić z tysiącem w kieszeni.

Oślaniając ciałem banknoty wyciągnął je i poddał bliższym oględzinom. Na pozór nic im nie brakowało. Nie były sfalszowane; numery serii miały dobre. I wydzielały ten sam dziwny zapach stęchlizny, który Holt zdążył poczuć już wcześniej.

- Musiał je pan długo gromadzić - zaryzykował.

- Były na wystawie przez sześćdziesiąt lat... - odparł Smith z roztargnieniem. Połapał się i napił żytniówki. Holt obserwował go spode łba. To nie były te staroświeckie płachty banknotów. Sześćdziesiąt lat, też coś! Oczywiście Smith wyglądał na tyle. Jego pomarszczona, bezpłciowa twarz mogła być z powodzeniem twarzą dziewięćdziesięciolatka. Holt zastanawiał się, jak też, facet mógł się prezentować za młodu. I kiedy to było? Najpewniej podczas wojny domowej!

Ponownie schował pieniądze, świadomy, że płonie zadowoleniem, nie dającym się złożyć wyłącznie na karb trunku. Denny Holt zrobił początek. Ten tysiąc Bolców w coś zainwestuje i na pewno mu się powiedzie. Koniec z taksówką, to niewątpliwe.

Na parkiecie wielkości znaczka pocztowego tancerze kołysali się i podrygiwali. Gwar nie milkł, głośne rozmowy przy barze szły o lepsze z muzyką płynącą z szafy. Holt bezmyślnie osuszał papierową serwetką piwo rozlane przed nim na stoliku.

- Nie zechciałby mi pan powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - zagadnął wreszcie.

Niewiarygodnie stara twarz Smitha mogła mieć jakiś wyraz; trudno było odgadnąć.

- Nie mogę, Denny. Ty byś mi nie uwierzył. Która godzina?

- Dochodzi ósma.

- Czasu wschodniego, starej rachuby... i mamy dziś dziesiątego stycznia. Musimy dotrzeć do celu przed jedenastą.

- Gdzie to jest?

Smith wyciągnął i rozłożył plan miasta, go czym podał adres w Brooklynie. Holt go odnalazł.

- Blisko plaży. Miejsce dość odludne, prawda?

- Nie wiem. Nigdy tam nie byłem.

- Co ma się zdarzyć o jedenastej?



Smith pokręcił głową, lecz wprost nie odpowiedział. Rozprostował serwetkę.

- Masz stylograf?

Holt się zawahał, po czym podał mu paczkę papierosów.

- Nie... nie, ołówek. Dziękuję. Przyjrzyj się dobrze temu planowi, Denny. To parter domu w Brooklynie, do którego pojedziemy. W suterenie mieści się laboratorium Keatona.

- Keatona?

- Tak - potwierdził Smith po chwili. - To fizyk. Pracuje nad dość ważnym wynalazkiem. Ma on być tajemnicą.

- Dobra. No i co?

Smith szkicował pośpiesznie.

- Dom jest dwupiętrowy, powinien być otoczony dużym ogrodem. Tu się mieści biblioteka. Można się do niej dostać przez te okna, a sejf powinien być ukryty za kotarą gdzieś tutaj. - Przycisnął czubek ołówka. Holt zmarszczył brwi.

- Czuję pismo nosem.

- Co? - Smith nerwowo zacisnął dłoń. - Pozwól mi skończyć. Sejf będzie otwarty. Znajdziesz w nim brązowy notatnik. Chcę, żebyś wyciągnął ten notatnik...

- ...i przesłał pocztą lotniczą Hitlerowi - dokończył Holt, szyderczo wykrzywiając wargi.

- ...i przekazał do departamentu wojny - rzekł Smith niewzruszony. - Czy to cię zadowala?

- No, to już brzmi lepiej. Ale dlaczego sam pan tego nie zrobi?

- Nie mogę - odparł Smith. - Nie pytaj dlaczego; po prostu nie mogę. Mam związane ręce. - Bystre oczy mu lśniły. - Ten notatnik zawiera nieopisanie ważną tajemnicę, Denny.

- Wojskową?

- Nie jest zaszyfrowana; łatwo ją odczytać. I zastosować rzecz w praktyce. Na tym polega całe piękno. Każdy by mógł...

- Mówił pan, że ten dom w Brooklynie należy do faceta nazwiskiem Keaton? Co się z nim stało?

- Nic... jak dotąd. - Smith pośpiesznie zmienił temat. - Wzór nie powinien zagać i dlatego musimy się tam dostać tuż przed jedenastą.

- Jeśli to aż takie ważne, czemu nie pojedziemy zaraz i nie wydostaniemy notatnika?

- Wzór będzie gotów dopiero parę minut przed jedenastą. Teraz Keaton doprowadza pracę do

stadium końcowego.

- To jakieś niedorzeczne - poskarżył się Holt. Wypił jeszcze jedną żytńiówkę.

- Czy ten Keaton to nazista?

- Nie.

- A czy to raczej nie on potrzebuje obstawy?

Smith potrząsnął głową.

- To nie tak, Denny. Możesz mi wierzyć, wiem, co robię. Jest wprost niesłychanie ważne, żebyś zdobył ten wzór.

- Hm.

- Zachodzi pewne niebezpieczeństwo. Moi... wrogowie... mogą tam czekać. Ale ja ich odciągnę i umożliwię ci wejście do domu.

- Wspomniał pan, że mogą pana zabić.

- Mogą, lecz pewnie tego nie zrobią. Zabójstwo to ostatnia deska ratunku, choć zawsze możliwa jest eutanazja. Tyle że ja nie jestem odpowiednim kandydatem.

Holt nie próbował zrozumieć poglądu Smitha na eutanazję; uznał, że to jakaś nazwa i oznacza zażycie proszku.

- Za tysiąc dolców - powiedział - zaryzykuję.

- Jak długo jedzie się do Brooklynu?

- Podczas zaciemnienia, powiedzmy, godzinę: - Holt poderwał się szybko. - Chodźmy. Są pańscy przyjaciele.

W ciemnych oczach Smitha odmalowało się przerażenie. Jakby się skurczył wewnątrz obszernego płaszcza.

- Co zrobimy?

- Wyjdziemy tylnymi drzwiami. Jeszcze nas nie widzieli. W razie gdybyśmy się pogubili, proszę iść na parking, gdzie zostawiłem taksówkę. - T-tak, dobrze:

Przepchnęli się między tańczącymi, do kuchni i dalej na pusty korytarz. Smith otworzył drzwi z znalazł się w zaułku. Zamajaczyła przed nim wysoka postać, ledwie widoczna w ciemnościach. Smith przeraźliwie pisnął ze strachu.

- W nogi! - rozkazał Holt. Odepchnął starca. Ciemna postać wykonała jakiś ruch i Holt rąbnął szybko w niewyraźnie zarysowaną szczękę. Pięść wylądowała w próżni. Przeciwnik wykonał prędko unik.

Czmychający Smith już ginął w cieniu. Zamarł odgłos jego gośpiesznych kroków.

Holt z sercem walącym jak szalone postąpił krok do przodu.

- Zejdź mi z drogi - powiedział głosem tak gardłowym, że słowa przypominały warknięcie.

- Przepraszam - odezwał się jego przeciwnik. - Nie jedź dziś do Brooklynu.

- A to czemu? - Holt nasłuchiwał odgłosów, które mogły oznaczać, że nieprzyjaciół jest więcej. Jak dotąd panowała jednak głucha cisza, przerywana tylko odległymi klaksonami samochodów i stłumioną wrzawą dobiegającą z pobliskiego Times Square.

- Obawiam się, że gdybym ci powiedział, i tak byś nie uwierzył. Mężczyzna mówił z tym samym kastylijskim akcentem, tak samo zamazując spółgłoski jak Smith. Holt wyteżył wzrok, żeby się przyjrzeć jego twarzy, ale było za ciemno.

Ukradkiem wsunął rękę do kieszeni i poczuł krzepiący chłód mosiężnego kastetu.

- Jeśli wyciągniesz broń... - zaczął.

- My nie używamy broni. Posłuchaj, Dennisie Holt. Wzór Keatona musi zostać zniszczony z nim razem.

- Niby czemu... - Holt zaatakował bez ostrzeżenia. I już nie chybił. Poczuł, jak kastet uderza w coś twardego, po czym osuwa się po śliskim, skrwawionym ciele. Ledwo widoczna sylwetka pochyliła się, ze zdławionym okrzykiem w krtani. Holt potoczył wzrokiem dokoła i nie dojrawszy nikogo zaczął sadyć wyciągniętymi susami przed siebie. Jak dotąd całkiem nieźle.

Pięć minut później był już na parkingu. Smith czekał na niego, wysuszony kruk w ogromnym płaszczu. Palce starego wybijały nerwowy rytm na lasce.

- Chodźmy - powiedział Holt. - Teraz musimy się pośpieszyć.

- Czy...

- Rozłożyłem go na obie łopatki. Nie miał broni... albo nie chciał jej użyć. Na moje szczęście.

Smith się skrzywił. Holt odnalazł taksówkę i sprowadził ją na dół po rampie, kierując ostrożnie, cały czas w pogotowiu. Taksówkę piekielnie łatwo jest wyśledzić. Zwłaszcza przy zaciemnieniu.

Jechał na południowy wschód, w stronę Bowery, ale na ulicy Essex, koło stacji kolei podziemnej, tamci ich dogonili. Holt skręcił w boczną uliczkę. Jego lewy łokieć, wsparty o okienko, zeszywniał i zmarł na sopol.

Prowadził prawą ręką, dopóki w lewej nie odzyskał czucia. Mostem Williamsburg wjechał do Kings, kluczył, na przemian to przyśpieszał, to zawracał, aż wreszcie znów pozbył się cieni. Trwało to czas jakiś. A mieli jeszcze kawał drogi przed sobą, bo wybrał okrężną trasę.

Po skręceniu w prawo ruszył na południe do Prospect Park, potem na wschód, ku odludnym plażom na odcinku między Brighton Beach i Canarsie. Skulony na tylnym siedzeniu Smith nie odzywał się ani słowem.

- Jak dotąd wszystko w porządku - zauważył Holt przez ramię. Tak czy owak, odzyskałem władzę w ręce.

- A co się stało?

- Uderzyłem się chyba w łokieć.

- Nie - wyjaśnił Smith. - To był porażacz. Taki jak ten. Pokazał łaskę.

Holt nie zrozumiał. Jechał dalej, aż w końcu znaleźli się prawie u celu. Zaparkował za rogiem, nie opodal sklepu alkoholowego.

- Skoczę po flaszkę - oznajmił. - Jest za zimno i za makro, muszę sobie strzelić coś dla rozgrzewki.

- Nie mamy czasu.

- Oczywiście, że mamy,

Smith zagryzł wargę, ale już się nie sprzeciwiał. Holt kupił pół litra żytniówki, a kiedy pasażer nie przyjął poczęstunku i w odpowiedzi przecząco pokręcił głową, pociągnął zdrowy łyk.

Trunek pomógł zdecydowanie. Noc była piekielnie zimna i przykra; deszcz niesiony wiatrem siekł ulicę, spływał po szybie. Zużyte wycieraczki nie na wiele się przydawały. Wiatr wył jak potępiony.

- Jesteśmy dość blisko - zauważył Smith. - Lepiej się tu zatrzymać i ukryć gdzieś taksówkę.

- Gdzie? Dookoła są same domy prywatne.

- Na podjeździe... co?

- Dobra. - Holt znalazł podjazd osłonięty obwisłymi gałęziami drzew i bujnie rozrosłymi krzewami. zgasił światła, wyłączył silnik i wysiadł ze spuszczoną głową i nastawionym kołnierzem deszczowca. Przemókł natychmiast. Lało równo, rześście, a krople wybijały głośne staccato w kałużach. Pod stopami Holt poczuł śliskie, zmieszane z piaskiem błoto.

- Chwileczkę - powiedział i wrócił do wozu po latarkę. - Gotowe. Co teraz?

- Do domu Keatona. - Smithem wstrząsały konwulsyjne dreszcze. - Jeszcze nie ma jedenastej. Będziemy musieli poczekać.

Czekali ukryci w zaroślach ogrodu Keatona. Dam jak cień majaczył na tle chwiejnej kurtyny nawilgłego mroku. Przez oświetlone okno parteru widać było część wnętrza jakby biblioteki. Głuchy łoskot fal rozbijających się na brzegu dobiegał z lewej strony.

Woda kapła Holtowi za kołnierz. Zaklął z cicha. On zarabia tysiąc dolców, więc bardzo proszę. Ale Smith znosi te same niewygody i nie narzeka.

- Czy to nie...

- Cii! - ostrzegł Smith. Tamci... mogą być tutaj.

Holt posłusznie ściszył głos.

- Więc i oni przemokną. Czy im chodzi o notatnik? Czemu nie wejdą i nie wezmą go sobie?

Smith obgryzał paznokcie.

- Oni chcą go zniszczyć.

- Jasne, to właśnie powiedział tamten facet w zaułku - potaknął Holt zaskoczony. - Ale kim oni są?

- Mniejsza o to. Oni są nietutejsi. Pamiętasz, co ci mówiłem, Denny?

- O zdobyciu notatnika? A co ja zrobię, jeśli sejf nie będzie otwarty?

- Będzie - odrzekł Smith z przekonaniem. - Już niedługo. Keaton jest na dole w laboratorium. Kończy przeprowadzanie eksperymentu. W oświetlanym oknie mignął cień. Holt wychylił się w przód; poczuł, że stojący obok Smith naprężył się jak struna. Z jego gardła wyrwał się krótki oddech.

W bibliotece pojawił się mężczyzna. Podszedł do ściany, odsunął zasłonę i stał zwrócony do Holta plecami. Po chwili zrobił krok w tył, otwierając drzwiczki sejfu.

- Gotowe! - oznajmił Smith. - O to chodziło! Zapisuje ostatni człon wzoru. Wybuch nastąpi za minutę. A wtedy, Denny, muszę mieć chwilę czasu, żeby uciec i wywołać zamieszanie, jeśli tamci są tutaj. - Chyba ich nie ma.

Smith pokręcił głową.

- Zrób, jak mówię. Biegnij do domu i zdobądź notatnik.

- A co potem?

- Potem zwiewaj, jak najszybciej potrafisz. Rób, co chcesz, byleś się nie dał złapać.

- A pan?

W oczach Smitha zapłonął stanowczy, władczy błysk. Zalśniły w wietrznej pomroce.

- Zapomnij o mnie, Denny. Ja będę bezpieczny.

- Wynajął mnie pan jako obstawę.

- Więc cię zwalniam. To sprawa zasadniczej wagi, ważniejsza niż moje życie. Ten notatnik musi się znaleźć w twoich rękach...

- Dla departamentu wojny?

- Dla... och, tak. Zrobisz to, co, Denny?

Holt się zawahał.

- Jeśli to aż takie ważne...

- Tak! Bardzo ważne.

- No więc zgoda.

Za oknem mężczyzna pisał coś przy biurku. Nagle szyba wyleciała z framugi. Detonacja była przytłumiona, jakby wybuch nastąpił pod ziemią, lecz Holt poczuł, że grunt chwieje mu się pod nogami. Widział, jak Keaton się zrywa, robi pół kroku w przód i wraca, chwytając notatnik. Fizyk podbiegł do sejfów ściennych, wrzucił notatnik do worka, zatrzęsł drzwiczki i przystanął na moment, zwrócony tyłem do Holta. Potem wybiegł z jego pola widzenia i zniknął.

Smith odezwał się głosem urywanym z podniecenia:

- Nie miał czasu go zamknąć. Czekaj, aż zawołam, Denny, a wtedy łap ten notatnik!

- Dobra - odrzekł Holt, lecz Smitha już nie było, pobiegł przez krzaki. Wrzask z głębi domu zwiastował ukazanie się czerwonych płomieni, które buchnęły z odległego okna na parterze. Coś zawałiło się z łoskotem. Cegły, pomyślał Holt.

Usłyszał krzyk Smitha. Nie mógł go widzieć w tym deszczu, lecz rozległy się odgłosy bójki. Holt zawahał się na ułamek sekundy. Niebieskie snopy światła sączyły się przez ulewę, blade i niewyraźne z daleka.

Powinien pomóc Smithowi...

Ale obiecał, a chodziło przecież o notatnik. Ścigający ich chcieli go zniszczyć. Teraz zaś dom najwyraźniej płonie. Keaton przepadł bez śladu.

Pobiegł do oświetlonego okna. Z powodzeniem zdążył wydobyc notatnik, zanim pożar stanie się niebezpieczny.

Kątem oka dojrzał zmierzającą ku niemu ciemną postać. Wsunął na palce kastet. Jeśli facet ma broń, będzie miał pecha; w przeciwnym wypadku szanse są dość równe.

Mężczyzna, ten sam, z którym Holt zmierzył się w zaułku przy ulicy Czterdziestej Drugiej, podniósł i wycelował w niego laskę. Wypląnął z niej bladoniebieski snop światła. Holt poczuł, że nogi mu drętwieją, i ciężko runął na ziemię.

Tamten biegł dalej. Holt się poderwał i rzucił desperacko do przodu. Nic z tego.

Płomienie rozjaśniały teraz noc swym blaskiem. Wysoka, czarna sylwetka zamajaczyła na moment na tle okna biblioteki; potem mężczyzna przelazł przez parapet. Holt zdołał utrzymać równowagę i na zeszywniałych nogach chwiejnie ruszył przed siebie. Cierpiał męczarnie: jakby tysiąckrotnie boleśniejsze uczucie cierpienia.

Dotarł do okna i uczepiwszy się parapetu zajrzał do środka. Jego przeciwnik majstrował przy sejfie. Holt podciągnął się w górę na rękach i pukuśtykał w kierunku mężczyzny.

Pięść z kastetem ścisnął w pogotowiu.

Nieznajomy uskoczył lekko i zamachnął się laską. Na brodzie miał plamę zakrzepłej krwi.

- Zamknąłem sejf - powiedział. - Powinieneś stąd zmykać, Denny, nim zajmie się na tobie ubranie.

Holt zaklął siarczyście. Na próżno usiłował dosięgnąć tamtego. Zrobił najwyżej dwa niepewne kroki, gdy wysoka postać znikła, zwinnie przeskoczyła parapet i pognała przez deszcz.

Zawrócił do sejfu. Słyszał trzask płomieni. Dym wdzierał się przez drzwi po lewej stronie.

Holt sprawdził: sejf był zamknięty. Nie znał kombinacji, więc nie mógł go otworzyć.

Ale próbował. Przeszukał biurko w nadziei, że może Keaton zanotował kombinację na jakiejś kartce. Z trudem dotarł do schodów wiodących do laboratorium i stanął zapatrzony w piekielną czeluść piwnicy, gdzie w płomieniach leżało nieruchome ciało Keatona. Tak, Holt próbował. I nie dał rady.

Wreszcie żar wygnał go z domu. Z wyciem nadjeżdżały wory strażackie. Nigdzie ani śladu Smitha czy kogokolwiek innego.

Holt został, wmieszany w tłum, by ich szukać, lecz Smith i jego tropiciele przepadli, jakby się rozplynęli w powietrzu.

- Złapaliśmy go, zarządco - powiedział wysoki mężczyzna ze skrzepem krwi na brodzie. - Przyszedłem tu zaraz po naszym powrocie, żeby cię powiadomić.

Zarządca wydał głębokie westchnienie ulgi.

- Były jakieś kłopoty, Jorus?

- Nie ma o czym mówić.

- Więc go wprowadź - polecił zarządca. - Chyba lepiej raz z tym skończyć.

Do biura wszedł Smith. Jego gruby płaszcz wyglądał dziwacznie na tle celofleksowych ubiorów pozostałych mężczyzn.

Oczy miał spuszczone.

Zarządca wziął do ręki notatkę i odczytał:

- 21 sola, roku pańskiego 2016. Dotyczy ingerencji we współczynniki prawdopodobieństwa. Oskarżonego przyłapano na próbie manipulowania obecną terażniejszością poprzez zmianę przeszłości. Tym sposobem tworzył zmienną alternatywną terażniejszość. Posługiwanie się wehikulami czasu jest zabraniane wszystkim z wyjątkiem upoważnionych urzędników. Oskarżony zechce odpowiedzieć.

- Nie próbowałem niczego zmieniać, zarządco - wymamrotał Smith.

- Zgłaszam sprzeciw - rzekł Jorus podnosząc wzrok. - Pewne kluczowe okresy czasomiejsca są zakazane. Brooklyn, zwłaszcza okolice domu Keatana, około jedenastej wieczorem 10 stycznia 1943, jest objęty absolutnym zakazem dla podróżników w czasie. Więzień zna powód.

- Nic o tym nie wiedziałem, panie Jorus. Musi mi pan wierzyć.

- Oto fakty, zarządco - nieubłaganie ciągnął Jorus. - Oskarżony wykradł wehikul czasu, ręcznie nastawił mechanizmy sterujące na zakazany sektor czasoprzestrzeni. Takie sektory są, jak wiadomo, ograniczone, bo stanowią klucze do przyszłości; ingerencja w takich punktach kluczowych automatycznie zmieni przyszłość i stworzy odmienną linię prawdopodobieństwa. W roku 1943 Keaton zdołał w swoim laboratorium wyprowadzić wzór czegoś, co dziś znamy jako Siłę M. Pospieszył z piwnicy na górę, otworzył sejf i zapisał wzór w notatniku w takiej postaci, że bardzo łatwo mógł go odczytać i zastosować nawet laik. W tym czasie w laboratorium Keatona nastąpił wybuch, schował więc notatnik i zszedł na dół, lecz nie pofatygował się zamknąć sejfu. Keaton zginął; nie wiedział, że Siła M nie może się znajdować w pobliżu radu, i synteza atomowa wywołała eksplozję. Po niej wybuchł pożar; notatnik Keatona uległ zniszczeniu, choć był zamknięty w sejfie. Zwęglonych zapisków nie dało się odczytać, nikt zresztą nie podejrzewał ich wagi. Dopiero w pierwszym roku dwudziestego pierwszego stulecia Siłę M odkryto ponownie.

- Nie wiedziałem tego wszystkiego, panie Jorus - rzekł Smith.

- Łzesz. Nasza organizacja nie popełnia błędów. Znalazłeś kluczowy punkt w przeszłości i postanowiłeś ją zmienić, a tym samym zmienić naszą terażniejszość. Gdyby ci się powiodło, Dennis Holt z roku 1943 wyniósłby notatnik Keatana z płonącego domu i odczytał zapiski. Byłby go otworzył wiedziony ciekawością. Znalazłby klucz do Siły M. A zważywszy samą jej istotę, stałby się najpotężniejszym człowiekiem w swoim czasowiecie. Zgodnie z odmienną linią prawdopodobieństwa, do której zmierzałeś, Dennis Holt, posiadający ten notatnik, zostałby dyktatorem obecnego świata. Ten świat w znanej nam postaci już by nie istniał, choć istniałby jego odpowiednik - brutalna, bezwzględna cywilizacja pod autokratycznymi rządami Dennisa Holta, jedyne go posiadacza Siły M. W dążeniu do tego celu więzień popełnił ciężkie



przestępstwo.

Smith podniósł głowę.

- Żądam eutanaacji - powiedział. - Jeśli chcecie winić mnie o to, że starałem się wyrwać z tej przeklętej życiowej rutyny, proszę bardzo. Nigdy nie miałem szansy, to wszystko.

Zarządca uniósł brwi.

- Z twoich akt wynika, że miałeś mnóstwo szans. Nie potrafisz dojść do niczego dzięki własnym zdolnościom; wykonujesz jedyną pracę, do jakiej się nadajesz. Ale twoje przestępstwo, jak powiada Jorus, jest ciężkie. Próbowałeś stworzyć nową terażniejszość burząc tę obecną na skutek manipulowania kluczowym punktem w przeszłości. I gdyby ci się powiodło, Dennis Holt byłby teraz dyktatorem rasy niewolników. Nie przysługuje ci już przywilej eutanazji popełniłeś zbyt wielką zbrodnię. Musisz żyć dalej i wykonywać wyznaczone ci zadanie aż do dnia, kiedy zemrzesz śmiercią naturalną.

Smith się zachłysnął.

- To była jego wina... gdyby w porę chwycił notatnik...

Jorus patrzył z wyrazem kpiny.

- Jego? Dennisa Holta, liczącego lat dwadzieścia; w roku 1943... jego wina?

Nie, twoja wina. Uważam... za próbę zmiany twojej przeszłości i terażniejszości.

Wyrok zapadł - stwierdził zarządca. - Skończone.

A Dennis Holt, liczący lat dziewięćdziesiąt trzy, roku pańskiego 2016, odwrócił się posłusznie i powoli wziął się znów do pracy, tej pracy, którą będzie wykonywał aż do śmierci.

A Dennis Holt, liczący lat dwadzieścia, roku pańskiego 1943, wrócił z Brooklynu taksówką do domu i zastanawiał się, co to wszystko miało znaczyć. Deszcz jak welon ukośnie spływał po szybie. Denny pociągnął łyk z butelki i w całym ciele poczuł krzepiące działanie żytniówki.

Co to wszystko miało znaczyć?

Banknoty zaszeleściły mu w kieszeni. Denny się uśmiechnął. Tysiąc zielonych! Jego forsa. Jego kapitał. Z tym niejedno da się teraz zdziałać - i niewątpliwie on to zdziała. Facet potrzebuje tylko trochę gotówki, żeby się mógł zakreć.

- A pewnie! - powiedział Denny Halt z naciskiem. - Ani mi się śni zasuwać do tej samej nudnej roboty przez całe moje życie. Z tysiącem dolców - to się po mnie nie pokaże!

## De profundis

Kłopot jest ze słowami. Kłopot - tylko szaleniec mógł to napisać, gdyż mogła się to przydarzyć tylko szaleńcowi. I trudna ominąć barierę. To znaczy barierę, która się wzniosła dokoła prawdziwego mnie. Myślę jasno, ale nigdy nie wiem, kiedy się znajdę pod przymusem i nieodpowiednie słowa zaczną spływać na papier...

Jestem jak nazbyt prędko kręcące się koło. Odebrałem dość staranne wykształcenie - przedtem. Znam mnóstwo frazesów. Lekarze nie mają jeszcze pewności, co mi dolega. Pozostaje nieobowiązująca prognoza. Może to być katatonია lub schizofrenia.

### TO NAJSTRASZNIEJSZA BEZNADZIEJNA PUŁAPKA

Stop. Muszę się przecież postarać, żeby to miało sens. Muszę się postarać i napisać to w formie tradycyjnej. Chcę to napisać do góry nogami i wspak, i jak palimpsest, po całej kartce. Muszę jednak wszystko wyjaśnić. Tylko ja potrafię odróżnić halucynację od rzeczywistości, ale naturalnie nikogo nie mogę zmusić; by bo widział. Kłopot polega na tym, że wślizgują się między moje halucynacje i sami udają złudzenia...

Czasami nawet mnie jest z tym trudno. Brak mi kotwicy zdrowia, której bym się mógł uczeplić. Wiem, że jestem szalony. To znaczy, wiem o tym, kiedy jestem na wpół rozumny. Kiedy się znajdę na równi pochyłej, pozostaje jedynie to wirujące, wiążące piekło ciemności...

Histeria choroby: William Rogers, lat 38, biały, stanu wolnego, wczesne rozpoznanie neurozy i psychozy...

Coś takiego wypisano w mojej karcie. Nie pamiętam zbyt wiele z przeszłości. Byłem już kiedyś w sanatorium. Przypominam sobie, że coś mi dolegało jeszcze w dzieciństwie. Pamięć mnie troszkę zawodzi, zwłaszcza odkąd czas się odrobinę wypaczył, by dopuścić Gości.

Goście to nie halucynacje. To rzeczywiste byty pośród mych wszystkich urojeń. Pojawili się dopiero w ostatnich czasach. Tyle wiem. Wszystko mi całkiem jasno wytłumaczyli. Nikt inny nie może ich widzieć czy słyszeć. Mówili, że jeśli chcę, mogę powiedzieć lekarzom; lekarze będą słuchali życzliwie i zadawali pytania, i w nic nie uwierzą. Halucynacje słuchowe i wzrokowe. Bogu wiadomo, że miałem ich dość, od tego zaczniemy.

Niekiedy widywałem Chmurę. I widywałem demony. Były tak jakoś tradycyjne, że wiedziałem, iż nie są rzeczywiste, choć mi mówiły, że zgrzeszyłem. Ta było na długo przed pojawieniem się Gości. Oni są całkiem realni. Przybywają z innego kontinuum czasoprzestrzeni. Chcą odwiedzać i obserwować. Mogłoby się zdawać, że chcieliby spotkać kogoś w rodzaju Einsteina, ale bynajmniej tak nie jest. Nie pragną, żeby nasz świat się o nich dowiedział. Wyobrażam sobie dlaczego. Nie da się obserwować elektronu, jeśli się go nie wyrzuci z normalnego toru. Zwierzę nie będzie się zachowywało naturalnie wiedząc, że ktoś na nie patrzy. A może są też inne przyczyny...

Goście przedstawiają straszny widok.

Przemawiają językiem telepatii, choć często słyszę go jako dźwięk. W pojęciach ogólnych jest tak odmienny od naszego, że niekiedy wydaje się językiem wierszyków dziecinnych, to znowu wyższej matematyki.

Słowa zamieniają się, przeobrażają i nie mogę spisać zdarzeń w logicznym porządku, myślę, że kawa łąwa trawa siedziała biegała skakała.

NIE

Czuję przymus rymowania. Czy to echolalia? Wydaje mi się, że jeśli wypełnię umysł bezsensownymi rymami, powstrzyma to Goście od wizyt i innych...

Wszystkich innych. Nierzeczywiste głosy słyszałem, odkąd sięgam pamięcią. Przez całe moje życie coś dziwnie było nie tak. Chciałem robić pewne rzeczy, a nie umiałem powiedzieć dlaczego. Jak wtedy, kiedy zbierałem chusteczki do nosa. Bezsensowne. I głosy w moim pokoju.

- William Rogers podchodzi do okna - szeptały. - Wypadnie z okna. Nie, nie wypadnie, ale schodząc ze schodów się potknie i skręci kark. Za dużo wie, żeby mógł żyć. Dopilnujemy, żeby nie żył.

To była halucynacja słuchowa.

MUSZĘ... PRZESTAĆ...

Dobra. To był okres dość paskudny. Wiedziałem, że nie są rzeczywiste, ale wydawały się rzeczywiste, wszystkie te jaskrawo ubarwione insekty wążące ani na piżamę. Musiałem raz wrzasnąć. Wszedł sanitariusz. Bałem się, że znów zawiną mnie w wilgotne prześcieradło, ale zamknąłem oczy i dałem im pełzać, i po minucie to ustało. Sanitariusz zapytał, co się dzieje. Odpowiedziałem, że już nic.

Ale polecono podać mi środek uspokajający w razie potrzeby. Jestem tu nadal na obserwacji. Lekarze nie zdołali jeszcze określić istoty mojej psychozy. Pewne czynniki komplikują sprawę. Wiem jakie. Na początku cierpiałem na zwykłą psychozę, ale potem zjawili się Goście i narobili bigosu. Żyroskop mojego umysłu wiruje jak szalony.

Niektórzy ludzie rodzą się z niebezpieczną cechą dziedziczną, innych wypacza otoczenie. Ja cierpiałem na jedno i drugie. Nie pamiętam wiele i niechętnie próbuję pamiętać. To nieprzyjemne. Poza tym ważne rzeczy zdarzyły się, kiedy całkiem postradałem zmysły. Goście są sprytni. Udają halucynacje i ukazują się tylko komuś, kto już halucynacji doznawał.

Ale nie było... grozy... dopóki się pojawili się Goście. Do tej pory podtrzymywała mnie

przynajmniej jakaś radość, występująca na przemian z czarną rozpaczą, i głosy... Czasami mówiły, że mnie będą ochraniać. Kiedy indziej groziły. Często mi powtarzały, że zgrzeszyłem i muszę ponieść karę.

Grzeszyłem. Musiałem grzeszyć. Nie wiem czemu. Muszę się jakoś poprawić. Głosy...

I były halucynacje dotykowe. To straszne dotykać szkła, a mieć wrażenie, że się dotyka futra. Straszna była świadomość, że skórę powleka mi lodowata galareta. A kiedy mnie tu przywieźli, przez pewien czas dodawali mi do posiłków jakieś paskudztwa. Nie chciałem jeść.

Gdzieś w głębi mego umysłu zalegała czerń. Zawsze wiedziałem, kiedy się zbliża. Była bezkształtna i dziwna. Wyrastała z niczego, w niezrozumiałym dla mnie kierunku, i nabrzmiewała, nabrzmiewała, coraz bliższe. Ale nigdy mnie nie dotknęła. Tylko śledziła. Nazywałem ją Chmurą. Nigdy nie mogłem jej poczuć dotykiem, skosztować czy powąchać, tak jak tych innych rzeczy. Ani wyraźnie zobaczyć. Teraz nie pokazuje się już od dawna, chociaż te inne rzeczy ani na chwilę się ze mną nie rozstają. Lecz głosy są przytłumione, kiedy przychodzą Goście...

To było tak.

Zdarzyło się wkrótce po moim przybyciu. Najpierw lekarze przez długi czas poddawali mnie kąpielom i kazali zawijać w mokre prześcieradła, a parę razy polecili mi włożyć kaftan bezpieczeństwa, co było okropne, bo utrudniał oddychanie, jaskrawe insekty zaś łąziły mi po twarzy. Nieco później nauczyłem się akceptować te rzeczy. Ludzie tutaj obserwowali mnie z tym znajomym wyrazem bacznej, na poły przyjacielskiej czujności. Głosy przemawiały w mej głowie, parokrotnie z mglistości wyłoniła się Chmura, rosła i siedziała przyglądając się czas jakiś, a potem malała i nikła. Długo to trwało.

Potem zjawili się Goście.

Czułem, jak badają. Tego wieczora w sanatorium były kłopoty. Pacjent cierpiący na manię samobójczą wyrwał się z oddziału dla furiatów. Zdwojono dawkę środków uspokajających. Wyglądało to na szczytowy moment jakiegoś cyklu. A to Goście szukali kontaktu.

Obłąd nie musi oznaczać przytępionej percepcji. Niejednokrotnie zdolny byłem oceniać to życie bezstronnie i krytycznie, ponieważ jestem z niego wyłączony. Na swój sposób dostrzegałem jakby ład w chaosie światowych wydarzeń. Ludzkość zmierzająca do nieznanego celu, ale być może nie całkiem pozbawiona kierunku. Widziałem, że coś ma nadejść. Coś nowego i odmiennego. Może coś lepszego.

Nie pomyślałem, że może to być coś całkiem obcego.

Tego wieczora byłem w pokoju sam. Drzwi zamknięto na klucz. Wpatrywałem się w szybę, z siatką wpuszczoną w szkło, i czekałem na obchód. Wtem poczułem, jak coś lejkowatego wsuwa mi się do głowy, oddala i powraca. Zawirowało, wbiło się i rozrosło. Przez sekundę myślałem, że może to Chmura, lecz Chmura jest bezkształtna, cicha i czujna. Nigdy mi nie dokucza. To dokuczało. Ogarnęło macie silne, rozedrgane, pełne napięcia podniecenie.

Przybyli z mętnych dali i zawisli w powietrzu przede mną. Otaczała ich przezroczysta ciemność; właściwie nie ciemność, bo widziałem przez nią ściany pokoju. Było ich trzech.

Przypominali ludzi, ale koślawych, małych, z wielkimi głowami pokrytymi Płatanią niebieskich pulsujących żył. Nie chodzili; nie mogli na tych swoich nogach.

Unosili się w mroku, nieznacznie przesuając, spoglądając na mnie. Przemawiały ich umysły:

- Nadaje się. Inteligencja ponad przeciętną. Psychoza pożądana. Od razu wiedziałem, że to nie halucynacje. Wstałem, żeby zawołać sanitariusza. Kazali mi wrócić do łóżka. Otworzyłem usta do krzyku, ale zmrozili mi gardło.

- Nie zrobimy ci krzywdy.

Mój umysł powiedział: - A jednak jesteście realni. Jesteście realni. Jesteście realni.

- Jesteśmy realni. Nie zrobimy ci krzywdy. Chcemy cię użyć do...

Wtedy wszystkie głosy zebrały się w mojej głowie i krzyknęły: ZGRZESZYŁEŚ, ZGRZESZYŁEŚ, ZGRZESZYŁEŚ...

Wrzeszczałem i wrzeszczałem.

Goście wrócili nieco później. Ale dopiero po upływie pewnego czasu mogłem z nimi sensownie rozmawiać. Raż wszedł lekarz, kiedy byli u mnie, lecz oni zamilkli, zawieszani w swojej klarownej ciemności, i nic nie zauważył. Po jego odejściu...

- Jesteście niewidzialni?

- Nie przebywamy cali w twojej płaszczyźnie czasoprzestrzeni.

- Czego ode mnie chcecie?

- Na targ, na targ, kupić tłustą świnie...

- Go?

Nie umieli jednak tego wyjaśnić. Brzmiało bezsensownie. Zapytałem, skąd przybyli.

- Zza wzgórz i jeszcze dalej. Z czasu. Z przyszłości. Badamy wasz świat.

- Ale ja rzadko opuszczam ten pokój.

- Nie musisz. To niepotrzebne. - Niebieskie żyły pulsowały na ich głowach. - Twój umysł

dostarcza nam... - słowo pozbawione znaczenia - ...co nam pozwoli dotrzeć wszędzie w twoim odcinku czasu. Jesteś katalizatorem.

Dotknęły mnie palce. Jakaś Rzecz, czerwona i straszliwa, wyłaziła z podłogi. Nienawidziła mnie. Wszystkie głosy się śmiały. Zamknąłem oczy i krzyknąłem. Kręciłem się, wirowałem, kręciłem...

Zły czas przeminął. Później Goście wrócili.

- Czemu ja? Czemu mnie wybraliście?

- Potrzebowaliśmy kontaktu. Tyś się wyjątkowo dobrze nadawał. Szukaliśmy długo, zanim cię znaleźliśmy.

- Ale dlaczego...

- Twoja era stoi na rozdrożu. Odkryto wielkie siły. Przesuwają się płaszczyzny prawdopodobieństwa. To okres niezwykle doniosły. Wiele jest poziomów rzeczywistości. Musimy badać przeszłość, by stwierdzić, co jest prawdziwą rzeczywistością, i w miarę potrzeby zmienić tę przeszłość.

Nie pojmowałem.

- Tobie nie stanie się krzywda. Twojemu światu nie stanie się krzywda. Wszelkie dokonane przez nas zmiany wydadzą się absolutnie naturalne.

- Nie mogę tego znieść. Weźcie kogoś innego.

- Nie.

- Ale jesteście straszni...

To dlatego, że byli tak obcy. Tak całkowicie różni od nas, nawet bardziej, niż to sugerował ich potworny wygląd. Ich myśli biegły innymi torami. Ich ciała były inne w każdym szczególe. Ich system nerwowy był inny. Czulem emanującą z nich energię. Napięcie stawało się nieznosne. Zawsze, kiedy już chwilę ze mną pobyli, zaczynałem wrzeszczeć.

Lekarze byli zaskoczeni. Często mnie wypytywali. Opowiadałem im o Gościach, ale oni tylko spoglądali po sobie.

- Nigdy przedtem nie widywał pan tych Gości, dopiero ostatnio?

- Nie, nie widywałem.

- Czy są tacy jak ta Chmura, o której pan wspominał?

- Nie. Chmura towarzyszy mi od lat z pewnymi przerwami. Nigdy mnie nie zdręcza.

- Czy są jak te głosy? Gzy mówią tak, jakby to były te same głosy?

- Nie. Głosy są odcieleśnione. Goście mówią właściwie bez słów. Powiedzieli mi, że w nich nie uwierzycie.

- Och, nic mi o tym nie wiadomo. Nie mógłby pan trochę więcej opowiedzieć mi o...

TY CHOLERNY ŁGARZU NIE WIERZYSZ W ANI JEDNO MOJE SŁOWO NA  
LITOSĆ BOSKĄ

Ale próbowali pomóc. Byli zniechęceni. Do czasu pojawienia się Gości nie tracili optymizmu. Chcieli chyba zastosować terapię wstrząsową i liczyli na sukces. Goście wnieśli jednak nieznaną element i nadali psychozie nowy, nie dający się rozpoznać charakter.

Potem przez pewien okres Goście się nie pojawiali. Przypuszczalnie próbowali wyjaśnić dlaczego, ale nie potrafiłem zrozumieć. Po ich odejściu pozostały tylko głosy i parę innych paskudnych rzeczy. I lekarze rzeczywiście zastosowali terapię wstrząsową. Była brutalna, lecz skuteczna.

W głowie zaczęło mi się przejaśniać. Nie pamiętam, jak długo to trwało. Lekarze mniej się hamowali w rozmowach ze mną i w atmosferze wyczuwałem nową nadzieję.

Przenieśli mnie na oddział otwarty. Było tam znacznie przyjemniej. Miałem trzy dobre dni. I wtedy wrócili Goście.

- Dalsze badania.

- Nie. Idźcie sobie. Proszę. Nie mogę tego znieść.

- Nie zrobimy ci krzywdy.

- Ale ją robicie. Wyczuwam to... napięcie... bijące od was. Napinam się cały w środku. To źle działa na mój umysł. To...

- Dziwne. To przeciętny homo sapiens, oczywiście, tyle że niezwykle podatny. Zapewne na skutek psychozy. Szyszynka i wzgórek... przyswajają nasze...pytała się Kasia o swojego Jasia...

Słowa. Nie mogłem zrozumieć słów. Jedyne sposoby komunikacji, a one stanowią nieprzekraczalną barierę.

- Wynoście się. Idźcie sobie. Dajcie mi spokój. Nie mogę tego wytrzymać.

- Ten właśnie kontakt jest potrzebny. Musimy zachować nasz iloraz energii, żeby nie stracić kontaktu z twoim odcinkiem czasu. Tak się składa, że jesteś niezwykle podatny.

- Jak długo tu będziecie?

- Przez wiele cykli. Zaczynamy od podstaw reorganizować wasz obszar czasoprzestrzeni...

- Co się stało, Rogers?

Głos sanitariusza.

- Nic. Wrócili. - Kto wrócił?

- Goście. Nie chcą się wynieść. PROSZĘ ICH STAD WYRZUCIĆ! - Siostrze, proszę uważać na Rogersa...

- Nie zrobimy ci krzywdy. Chwilowo zajmujemy się obszarem mózgu, w celu zbadania niższych poziomów nonsensu nonsensu nonsensu...

- NIECH WAS DIABLI WYNOŚCIE SIĘ STĄD NA LITOŚĆ BOSKĄ.

Wróciłem do izolatki.

Nie było nadziei.

Cierpiałem na chorobę umysłową. Odbudowana została ściana, która mnie odgradzała od reszty ludzi. Lekarze nie sprawiali już wrażenia optymistycznych. Katatonie, schizofrenię można leczyć wstrząsami. Ale zastosujcie zmienny czynnik wstrząsowy do żyroskopu, a nie da się przywrócić mu równowagi i utrzymać go na gładkim, równym biegu. Głosy powróciły. Jaskrawe insekty pełzały, jedzenie miało smak trucizny, łóżko było rozdziawianą jamą ustną o strasznych białych wargach, rozwartych, by mnie pożreć...

Któregoś dnia uświadomiłem sobie, że Goście robią to umyślnie. Nie chcieli mego wyzdrowienia. Sama ich obecność wystarczała, bym trwał w stanie psychotycznym, dopóki zaś byłem obłąkany, mogli przychodzić do mnie o każdej porze i bez znaczenia byłoby, gdybym o tym gadał.



Byli tak obcy. Ja byłem dla nich niczym. Należałem do podgatunku. Oni stanowili coś, co może ewoluować na Ziemi lub na czymś do Ziemi podobnym kiedyś w ewentualnej przyszłości. Zwykłem siadywać i rozmyślać o tym maleńkim punkciku światła - tym czasie i przestrzeni, i planecie - i o otaczającej go zewsząd olbrzymiej niewiadomej, zaludnionej przez Bóg wie co.

A ja byłem po prostu jednym samotnym człowiekiem, od początku z felerem.

Lekarze wyzbyli się nadziei.

Tego wieczora leżałem w łóżku popłakując. Nie miałem wyjścia. Poczułem, jak napięcie zaczyna wibrować w mojej głowie, i wiedziałem, że Goście nadchodzą. Byłem bezradny i sam, całkowicie, zupełnie sam. Nikt poza obłąkanymi nie zna prawdziwej samotności.

Przyszli. Błagałem, żeby mi dali spokój. Patrzyli na mnie swoim zimnym wzrokiem. Żyły na ich głowach pulsowały błękitnawo.

- Jak długo pożyje?

- Dość długo.

- Nie chcę żyć - powiedziałem. - Przez was wszystko powraca. Boję się ruszyć. Czuję to w tej chwili, to coś, co się z was wylewa. Może to coś was trzyma przy życiu. Ale ja nie jestem tak zbudowany, by to wytrzymać. Pozwólcie mi umrzeć.

- Ty się nie liczysz. Jesteś przydatnym narzędziem...

Przestałem słuchać. Coś zaczynało się dziać.

Bardzo maleńka i niewyraźna, gdzieś w głębi mego umysłu, Chmura zaczęła rosnać. Byłem szczęśliwy. Po trosze rozpraszała samotność. Ją przynajmniej znałem i nigdy mi się: nie naprzykrzała, a nie czułem jej już od wielu miesięcy. Od czasu przybycia Gości. Dobrze zapamiętany, wirowy, gładki ruch ogarniał wnętrze mej głowy, aż wtem pojawiła się Chmura, czujna jak zwykle. Była niczym stary przyjaciel.

Wśród Gości zapanowało nagle zamieszanie. Trochę jakby podrygiwali, zawieszani tam w swojej klarownej ciemności.

- Co to takiego? Odpowiadaj. Co to takiego?

- Chmura. Cieszę się...

Rosła i rosła. Wypełniała mi głowę. Wszystko było dziwie i pomieszane.

- Chmura? Co on przez to rozumie? Co to jest? Czuję...

- DURNIE! TEN CZŁOWIEK JEST MÓJ!

Głos Chmury. Ale Chmura nie umiała mówić, prawda?

Goście się darli, poszturchując nawzajem w swej płynnej ciemności. Jakże pulsowały ich olbrzymie głowy! Chmura przepłynęła nad nimi i zaczęli wariować. Wariować jak ja. Teraz Chmura otuliła ich i nawet wrzaski ich brzmiały słabiutko...

Krzyczałam. Sanitariusz otwierał drzwi z klucza. Nadbiegały pielęgniarki. Nie widzieli Chmury. Nie widzieli Gości. Ale ja widziałem. JA WIDZIAŁEM!

Chmura też mnie wykorzystywała. Tak jak Goście. Może naprawdę byłem użytecznym narzędziem. Może nasza era jest zasadniczym punktem zwrotnym. Jedni i drudzy wysłannicy z obcego miejsca mnie poszukiwali. Ale Chmura była o wiele mądrzejsza niż Goście. Nie musiała robić mi krzywdy, by przeze mnie nawiązywać kontakt.

I była o wiele bardziej obca niż Goście. Obca nawet dla nich. Dotknęła ich, poraziła dziwną energią zaczerpniętą z niewyobrażalnie odległego czasu, przestrzeni i prawdopodobieństwa, a Goście w mojej przytomności skurczyli się i oszaleli, wrzeszczeli i zniknęli w kierunku, w którym nie mogłem podążać ani się zorientować.

Już mnie nie mogli skrzywdzić. Należałem do Chmury. Ona strzegła swojej własności.

Później poczułem lód pełznący mi po ciele. Usłyszałem dobrze znane głosy wykrzykujące ze ścian. Doleciały mnie dziwne zapachy i nowy smak zagościł na języku, Chmura zaś wypełniła pokój i szpital, i świat, i nieskończoność poza nim, i wirując w dół w białą ciemność hen, daleko, i nigdy przynigdy nie wracając...

W zeszłym tygodniu wypisali mnie, wyleczonego, z sanatorium. Kuracja trwała wiele miesięcy, lecz w końcu komisja uznała mnie za zdrowego. Nie mogłem tego pojąć.

Powiedzieli, że jestem wyleczony. Może. Przynajmniej Goście nigdy już nie wrócili. Bo jak by mogli?

Co do Chmury...

Podobnie jak Goście, przybyła z przestrzeni, czasu i prawdopodobieństwa, by badać ten świat. Ale była bardziej obca niż Goście i potężniejsza. Na tyle potężna...

Chmura, dla swoich własnych niepojętych celów, jest obserwatorem. Uznano mnie za zdrowego na umyśle. Chodzę po tym świecie i patrzę, jak ludzie budują przyszłość. Ale wiem, że nie jestem zdrowy. Udzieliłem psychiatrom właściwych odpowiedzi. Moje reakcje są reakcjami normalnego człowieka. Ale to nie są m o j e reakcje. To nie ja udzielałem odpowiedzi. To ktoś inny. Coś innego. Ponieważ

PONIEWAŻ

PONIEWAŻ

PONIEWAŻ

trudno pisać prawdę, trudno ominąć tę barierę w moim umyśle i stać się zrozumiałym, bo moje prawdziwe ja nadal jest zanurzone w cieniu, eterze, umbrze oparze cumulusie

Nie. Udawanie, że to ja, udawanie, że jestem wyleczony, kiedy prawdziwe ja jest bezradne i nadal

W

CHMURZE

CHMURZE

CHMURZE